

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



JACEK ŻAKOWSKI

**CO DALEJ
PANIE MROŻEK?**

Część I

Znowu byli razem. Za hotelowym oknem trzaskał mróz. Nad czerwonymi dachami starego Sztokholmu szalała wichura. Sypał śnieg, strzelały fajerwerki. Po tygodniach rozstania stali w tym oknie we dwoje. Cieszyli się sobą i ciepłem hotelowego wnętrza. Objął ją ramieniem.

– Susana, chcę, żebyśmy zamieszkali w Meksyku.

– Naprawdę, Sławomir?

– Absolutnie naprawdę.

– Ty wiesz, Sławomir, że Meksyk to nie jest plaża w Acapulco?

– Ja nie cierpię plaży...

– Wiesz, że Europejczycy się w Meksyku nie aklimatyzują. A co dopiero Europejczycy piszący po polsku. To tak, jakbyś mieszkając w Paryżu pisał w języku navaho.

Zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę. „Ale co mi tam aklimatyzacja – myślał – ja potrzebuję trzech dni. A Europa będzie już tylko kisa. Bardzo wygodnie jest żyć w Europie, bardzo tu jest pięknie, ale potwornie nudno. I poza tym: co dalej?”

– My się zaaklimatyzujemy. Zgoda?

– Ale ty wiesz, o czym mówisz? Wiesz, że to nie będzie łatwe?

– Damy sobie radę. Więc zgoda?

– Zgoda, Sławomir, zgoda, zgoda, zgoda...

Był pierwszy dzień 1989 roku. Susana Osario-Mrozek nie mogła sobie wymarzyć wspanialszego noworocznego prezentu. Mimo wszystko tęskniła do swego rodzinnego kraju, którego nie lubiła, z którego uciekała, ale w którym jednak – jak nigdzie – czuła się u siebie. W gruncie rzeczy o niczym innym bardziej nie marzyła, jak o tym, żeby razem ze Sławomirem zamieszkać w Meksyku. Zanim się pobrali, przez lata śniła o tym, by przeżyć wielką miłość, mieć wspaniałego męża, którego Meksykanie będą poważali, i żyć z nim gdzieś w Meksyku tak, jak jej się podoba – bez oglądania się na wszystko, czego tam nie akceptowała.

Miała 36 lat. Jej mężowi, Sławomirowi Mrozkowi, do sześćdziesiątki brakowało roku i paru miesięcy. Razem ruszali na wielką życiową przygodę.

Poznali się dziesięć lat wcześniej w Meksyku. Susana była asystentką reżysera w teatrze, który wystawiał Mrozkowskich „Emigrantów”. Mroźka zaproszono jako autora teatralnego superhиту. „Emigrantów” miesiącami grano po dwa razy dziennie, a mimo to, by kupić bilety, trzeba się było ustawiać w kolejce. Susana została przewodniczką pisarza. Gdy Mrozek wrócił do Paryża, zaczęli pisywać listy. Nic poważnego, ot wymiana wrażeń, parę garści refleksji.

Spotkali się ponownie w roku 1987. Po wielkim trzęsieniu ziemi, które zniszczyło Meksyk, Susana zamieszkała u przyjaciół w Norwegii. Mrozek przyjechał do Oslo na premierę „Kontraktu”. Ona miała za sobą nieudane małżeństwo. On był samotnym wdowcem.

Włącząc się po Oslo szybko odnaleźli pokrewieństwo dusz. Oboje żyli teatrem i literaturą. Oboje mieli kłopot z zaakceptowaniem swoich własnych krajów. Sławomir miał kłopot z Polską. Susana z Meksykiem. Oboje chcieli znaleźć sobie nowe miejsce na świecie. Na razie znaleźli siebie. Zaprosił ją do Francji. Tam przyjęła jego oświadczyń. Pobrali się w Paryżu 25 października 1987 r.

Poczucie, że trzeba się ruszyć gdzieś dalej, towarzyszyło Mrożkowi przez niemal całe życie. Ciągłe coś go gnało. Żył w wiecznym konflikcie między potrzebą komfortu, zakorzenienia, umiejscowienia, domu a podszeptami kudłatego demona, który wciąż sączył do ucha męczące pytanie: „Co dalej, panie Mrozek? Co dalej? Co dalej?” To ów kudłaty jegomość ciągle podpowiadał jakieś inne miejsca, podsuwał argumenty uzasadniające rzucanie wszystkiego, kazał poszukiwać Ziemi Obiecanej i próbować siebie w nowych okolicznościach.

Pierwszą odpowiedzią na pytanie: „Co dalej?” była emigracja z Krakowa do Warszawy w 1959 r. Warszawa to była Stolica, która przed „młodym-zdolnym” miała szeroko otworzyć wrota pisarskiej kariery. No, i otworzyła, chociaż za cenę tułaczki po wynajętych mieszkaniach. Dopiero po roku w redakcji „Nowej Kultury” Mrozek przypadkiem natknął się na wciąż potężnego Stefana Żółkiewskiego.

- Co słychać?
- Ach, mam kłopoty z mieszkaniem.
- Nie ma pan mieszkania?
- Ciągłe mieszkamy kątem.
- No to ja pana wstawię na listę Cyrankiewicza.

I wstawił. Dzięki liście premiera parę miesięcy później Mrożkowie mieli już swoje własne dwa pokoje na nowym Starym Mieście. Zaczęło się urządzenie. Kiedy się urządzili, Mrozek nie był już „młodym-zdolnym” z Krakowa, lecz obiecującym polskim dramaturgiem z krajowym, a niebawem i zagranicznym sukcesem. Kudłaty demon znów pytał: „I co dalej? Co dalej?”

„»Obiecujący« – lecz: co obiecujący? Co ja naprawdę wiem o tym, ile jestem warty? Żyję – myślał Mrozek – w pancernym akwariu, w którym nic nie jest naprawdę. O wszystkim decydują jacyś podejrzeni faceci siedzący po ministerstwach, komitetach, wydziałach. Nie wiem, czy jestem zdolny naprawdę, czy tylko oni mianowali mnie zdolnym. Żyjąc w PRL-u, jestem własnością Państwa i jako państwowa własność wiem tylko tyle, ile mi państwo do wiedzenia poda. Więc w gruncie rzeczy sam nie wiem, kim jestem”.



Pobrali się w Paryżu 25 października 1987 r.

Żeby te wątpliwości rozwiązać, trzeba było wyjechać. Sprawdzić się na normalnym literackim rynku. A na dodatek październikowe nadzieje okłapły, zaczynał się proces gnilny przerywany próbami dokręcania śruby. „W Związuniu robią bilans – uważał – i widzą, że od śmierci Stalina nic im dobrego nie wyszło. Więc czas na stabilizację. Nakażą czyścić teren i mocniej trzymać mauzera”.

– Wolę być za granicą sprzątaczką niż w PRL-u panią pisarzową – mówiła pani Mrożkowa, gdy Mrożek miał za sobą wielki sukces „Policji”. Wyrażała w ten sposób ich wspólne obrzydzenie układami komunistycznej warszawki, kłamstwami, narastającą obcością nawet wśród przyjaciół, manipulacją coraz surowszej cenzury.

„Dziecinne to może i naiwne – pisał wkrótce do Jana Błońskiego – ale mnie od czasu do czasu niemożność stanięcia na ulicy i krzyknięcia kilku słów nienowych, nietwórczych (to ze staniem na ulicy, to metafora oczywiście), ale prawdziwie odczuty, ta niemożność staje się czasem dokuczliwa jak ciężka choroba. (...) jest to reakcja organizmu na kolosalne udawanie (...), na tę piramidę bzdury, spod której wystarczyłoby wyciągnąć jeden kamyczek, żeby się zawaliła z hukiem. (...)”.

Nie byli prześladowani. Przeciwnie. Jak na peerelowskie stosunki nawet ich rozpieszczano. W roku 1963 mieli już za sobą orbisowską wycieczkę do Rosji, trzymiesięczne stypendium we wrogiej Ameryce, podróż do Europy. Jako dewizowi krajowcy nie mieli finansowych problemów. Bywali w Bristolu, jeździli samochodem, ale Mrożek coraz wyraźniej czuł na swoich plecach ciężki oddech systemu, czuł, jak się pod tym oddechem ugina, widział, jak zaczyna kluczyć. „Denerwują was moje »Karole« i »Strip-tease’y« – kombinował przez jakieś ostatnie dwa lata – rozumiem, rozumiem. Ale cóż, błędy młodości. Dzisiaj ja już nie w tych stronach, dzisiaj ani ja z Wami, ani przeciw Wam, ja ponad, ja duszę ludzką tylko będę drażył. Więc poczekajcie jeszcze trochę, krzywdy mi nijakiej nie czyńcie”. Tak powstały „Czarowna noc” i „Kynolog w rozterce” – dwie jednoaktówki, obie zdaniem samego autora „ni z pierza, ni z mięsa”.

Kiedy więc Mrożkowie dostali paszporty na wycieczkę po Włoszech, powzięli żelazne postanowienie, że nieprędko wrócą. Problem widzieli właściwie tylko jeden: „Na miłość boską, żeby się kto o tym nie dowiedział. Nikomu ani słowa!”

„Kombinowałem sobie tak. Wyjadę, a tam w obcych krajach wszystko obce. I proszę bardzo – notował – właśnie o to chodzi, bo nie będę musiał udawać, co za ulga, wszystko dokoła będzie wiedziało, że jestem obcy na mocy mojego statusu cudzoziemca. Byłem więc bardzo silny na kredyt”.

Sławomir Mrożek i jego żona Maria Obremba-Mrożek wylądowali w Rzymie wieczorem 3 czerwca 1963 roku. Zamieszkali na włoskiej Riwierze, w Chiavari, niedaleko Genui. Wynajęli pokój w robotniczej dzielnicy. „Policja” miała już sukces między innymi w Niemczech, więc na początek starczyło pieniędzy, żeby opłacić mieszkanie i kupić garbusa, ale przyszłość nie rysowała się jasno. „Teraz – pisał Mrożek do Jana Błońskiego – jest rozmaicie, ciężko czasem. Ale wiem, za co płacę, i wiem, co za to dostaję: coś swobodniejszego w głowie. Fermentuje mi się coś i wywraca, zamęt, oglupienie, aż czasem nieznośne, ale każda moja chwila nabiera wagi dla mnie, bo jest moją chwilą, odpowiedzialność wielka za siebie, za każdy ruch, za wszystko, za myśl, a w Polsce przecież nikt nie jest za nic odpowiedzialny, nikt nie jest odpowiedzialny za swoje własne życie przede wszystkim i coś z tej atmosfery się udziela, trudno z nią walczyć. (...) W Polsce było mi coraz bardziej obco, z dnia na dzień włączając w to nawet znajomych, nawet przyjaciół. Z jednymi w ogóle, z drugimi coraz mniej – czułem to – mogłem mówić, nie tam o żadnej polityce, ale o tym, co ja na prawdę sądziłem o nich, o sobie, o samej ziemi, na której staliśmy. O stylu,

obyczaju, gatunku aktualnego powietrza, o rośnięciu aktualnych drzew. Za bardzo mi się wydawało, że oni sami byli nazbyt tym drzewem, tym powietrzem, a nie od każdego można wymagać okrucieństwa w stosunku do siebie”.

Zachód to były wielkie marzenia i pożądanía Mrożka, ale dziecko PRL nie wyobrażało sobie realnego świata poza Polską Ludową. Przeżywał depresje i we śnie rozpaczał, że już nigdy nie pójdzie z Piotrem Skrzyneckim do piwnicy w Krakowie, chociaż na jawie miał w sobie desperacki upór, żeby w żadnym razie do PRL nie wracać.

Nie był – i nigdy się nie stał – emigrantem typowym. Nie wyjeżdżał za chlebem. Nie uciekał przed polityczną represją. Emigrował w równym stopniu z Polski, co i z PRL-u. Po prostu chciał mieszkać gdzie indziej. „Jeżeli Anglik – próbował sobie wmawiać – może mieszkać w Zurychu, a Amerykanin w Rzymie, to równie dobrze Polak, przynajmniej Sławomir Mrożek, może zamieszkać w Chiavari, Paryżu albo nawet w Berlinie”.

Jak każdy, kto się utrzymuje z jakiegokolwiek twórczości, widział ryzyko związane ze swoją dalszą karierą. Czy zdoła się na Zachodzie utrzymać? Czy potrafi znów napisać sztukę, która odniesie sukces? W kolejnym pokoiku tuż nad brzegiem morza, gdzie wiatr i mokra bryza przedostawały się przez tanio budowane ściany, zdawał sam przed sobą swoją życiową próbę. Chwilowo szło nadzwyczajnie. Rok po wyjeździe z Polski gotowe było „Tango”. Przygotowana na wtorek 7 lipca 1965 r. warszawska premiera w reżyserii Erwina Axera przyniosła wielki sukces. Rok później „Tango” grano już w Düsseldorfie, Londynie, Belgradzie.

Więc wyjazd się sprawdził. Prawdziwe życie się jednak opłaciło. „W kraju ucieczka w uniwersalność, a za granicą powrót normalnego zainteresowania konkretem” i drugi duży sukces. Chociaż nie bez ceny, bo konkret bywa bolesny. Właśnie kończył się paszport, a razem z nim wiza.

– Paszport, bardzo proszę – mówiono mu w konsulacie – ale dlaczego ma pan mieszkać tylko za granicą? Nie lepiej mieć jedno mieszkanie we Włoszech, a drugie na przykład w Warszawie? Trochę może pan pomieszkać w Chiavari, a trochę u nas w kraju.

Mrożek kluczył. Nie chciał iść na kompromis, nie chciał być Jewtuszenką ani Iwaszkiewiczem – agentem opinii, który w salonach Zachodu ma samym sobą zaświadczać, że w komunizmie jest wolność, że, bardzo proszę, on, pisarz z komunistycznego kraju, jest tego najlepszym dowodem, bo mieszka, gdzie mu się podoba, pisze, co mu się podoba, i podróżuje, kiedy mu się podoba. Miał potężne przeczucie, że taki kompromis tak czy inaczej zaowocuje kolejnymi „Kynologami w rozterce”.

Czuł bardzo wyraźnie, że „za granicą nacisk znika, a zostaje sprawa”, ale wciąż jeszcze nie chciał być emigrantem, chciał pozostać pisarzem, który nie mieszka w kraju. Przez rok oboje z żoną nie mieli ważnego paszportu – a więc również wizen – i tylko włoski bałagan chronił ich przed deportacją. Po roku, już nieoczekiwanie, nowe paszporty przysły pocztą z Rzymu. Ważne na dwa lata i wszystkie kraje świata. PRL się ugiął.

Przez cztery lata po wyjeździe z Polski kudłaty demon drzemał. Nasycił się chwilowo nowością, innością, swobodą. Potem zaczął się budzić. Wróciło męczące pytanie: „Co dalej?” Mrożek sprawdził się na Zachodzie, lecz ten Zachód to chwilowo była tylko spokojna włoska prowincja. Zaczęło mu brakować tętna dużego miasta. Coraz bardziej nęciło życie metropolii. Zadomowienie, inercja, egzystencjalna wygoda trzymały w Chiavari, gdzie wszystko zostało tymczasem solidnie ułożone, zagospodarowane, pewne. W miarę jednak, jak zbliżał się do czterdziestki, pytanie „Co dalej?” coraz wyraźniej przeradzało się w obsesję przeprowadzki, która wreszcie wybuchła ślepą determinacją. Gdy przyszło do decyzji, wybór padł na Paryż – metropolię, jeszcze wówczas jak żadna, otwierającą nieskończoność szans, wrażeń, kontaktów, inspiracji.

Mroźkowie zdecydowali tak szybko, że wyjechali do Paryża bez rzeczy. Zamieszkali w hotelu i po raz kolejny zaczęli szukać jakiegoś mieszkania. Bez konta w banku, ze znów się kończącym peerelowskim paszportem, bez prawa stałego pobytu we Francji. Potem się zaczęło mozolne przewożenie rzeczy. Garbus kilka razy musiał pokonać Alpy, zanim do Paryża trafiły zgromadzone już garnki, książki, krzesła. Za każdym razem na zatłoczonej włosko-francuskiej granicy powtarzała się dokładnie ta sama procedura. Najpierw kolejka – jak wszyscy – później, po okazaniu peerelowskiego paszportu, obowiązkowy zjazd na bok, oczekiwanie pod szopą, dłuższe przesłuchanie prowadzone przez funkcjonariuszy w cywilu, dokładne wyjaśnianie: kto, dokąd, po co, tłumaczenie, opowiadanie detali. Wreszcie jakoś się tę granicę dawało przejechać, ale zawsze z kłopotem i zawsze z poniżeniem.

Kiedy się już Mroźkowie mniej więcej w Paryżu znaleźli, po raz kolejny skończyły im się paszporty. Wizyta w konsulacie wyglądała tak samo jak w Rzymie.

– Pięć lat za granicą – a czemu państwo nie wróć. Nie lepiej w kraju pomieszkać, potem wyjechać i wrócić?

W kraju tymczasem wrzało. Marzec, paskudztwo rasowej czystki, wyjazdy, pobicie Kisiela, masowe procesy studentów. O powrocie do szamba nie mogło być mowy, a konsulat milczał. Warszawa nie podejmowała decyzji. Nie było przedłużenia, ale też nie było odmowy. Cisza.

Właściwie nie musieli o te paszporty zabiegać. Mogli wystąpić na Zachodzie o azyl. Mogli się w Paryżu utrzymać. Mogli dołączyć do paryskiej Polonii. Mroźek tego nie chciał, bo jak długo był za granicą legalnie, jak długo w urzędowych rejestrach nie przeszedł dość cienkiej granicy między „artystą w podróży” a „renegatem, który uciekł z ojczyzny”, tak długo krajowe teatry wystawiały po kolei wszystkie jego sztuki, „Dialog” je publikował, wydawnictwa wydawały książki, gazety drukowały rysunki i opowiadania. Nie chciał zrywać kontaktu ze swoim naturalnym rynkiem, więc zabiegał o paszport, nie pisywał do paryskiej „Kultury”, Giedroycia odwiedzał chyłkiem, o polityce publicznie się nie wypowiadał.

Rankiem w czwartek 21 sierpnia 1968 r. akurat był sam w domu. Siedział przy odbiorniku i słuchał relacji francuskiego radia o wkroczeniu obcych wojsk do Czechosłowacji. Nagle wstał, podszedł do stołu, wyjął czystą kartkę i zaczął na niej pisać: „Wobec czynnego udziału Rządu PRL w zbrojnej agresji na Czeską Socjalistyczną Republikę Ludową i okupacji wojskowej tego kraju, oświadczam, co następuje:

Protestuję przeciwko tej akcji.

Jestem solidarny ze wszystkimi Czechami i Słowakami, którzy się tej akcji sprzeciwiają. Szczególnie z moimi towarzyszami, pisarzami czeskimi i słowackimi, którzy są prześladowani i więzieni.

Z poważaniem

Sławomir Mroźek”.

Kiedy kończył, wróciła do domu żona. Oboje rozumieli, co publikacja takiego oświadczenia oznacza. Szybko je przeczytała.

– Tak, tak, bardzo dobrze, tak trzeba było zrobić.

Mieli całkowitą świadomość, że przekraczają rubikon, ową cienką granicę między „mieszkającym za granicą artystą” a „renegatem, zdrajcą, dezerterskim, politycznym uchodźcą”, który już nie ma powrotu do kraju, którego sztuki w Polsce nikt już nie wystawi, książki nie wyda, rysunku nie wydrukuje, a w druku nawet nazwiska nie wspomni inaczej jak obelżywie.

Trzeba było zadbać, żeby kosztowny gest chociaż nie poszedł na marne. Chwycili za telefon. Dzwonili do Jerzego Giedroycia i do francuskich przyjaciół z prośbą o pomoc w umieszczeniu oświadczenia w prasie. Mroźek był modny. Jego gest się liczył. Nazajutrz

czytając własne oświadczenie na kolumnach listów największych europejskich dzienników poczuł niezwykłą ulgę. Jego sytuacja nareszcie stawała się jasna. Długa smycz, na której peerel wciąż jeszcze go trzymał, nareszcie została zerwana. Zdał sobie sprawę, jak bardzo przez te pięć lat nienawidził huśtawki, na której się znalazł, ile go kosztowało ciągle lawirowanie, kluczenie, szukanie kompromisu w sprawie własnego statusu.

– Państwo są zobowiązani w ciągu dwóch tygodni wrócić do Warszawy – powiedział im kilka dni później patrzący w bezkresną przestrzeń pan Józio z konsulatu. – Państwa paszporty nie będą przedłużone.

– Czy to nieodwołalne?

Pan Józio nic nie odpowiedział.

– No to do widzenia.

Kiedy tym razem Mrozek wypowiadał swoje „do widzenia”, bardzo dobrze wiedział, co ono oznacza. Być może było to najważniejsze „do widzenia” w całym jego życiu. W sensie formalnym właśnie teraz stawał się politycznym uchodźcą.

Do kraju Mrozkowie już nie mieli powrotu. Otwierał się więc przed nimi biurokratyczny móżół, przez który przejść muszą wszyscy azylanci. Podania, przesłuchania, kolejki, długie godziny spędzone w korytarzu paryskiej prefektury pomiędzy uchodźcami z Ghany, Algierii, Mozambiku. Z punktu widzenia francuskich urzędników nie było istotnej różnicy między panem Gbhaną z N’Djameny a panem Mrozkiem z Warszawy. Na szczęście Warszawa tym razem nie zawiodła. Zwłaszcza nie zawiodła czujna „Trybuna Ludu”. Gruba teczka starannie przetłumaczonych wstępniaków, które „renegatowi, zdrajcy i żydowskiemu pacholcowi” wystawiały świadectwo zachodniej moralności, stanowiła doskonałą podkładkę dla uzyskania azylu.

Kudłaty triumfował. Wkrótce Marię i Sławomira pogał do Berlina Zachodniego. W Berlinie Marię zabił błyskawiczny nowotwór. Wracając do Paryża jesienią 1969 r. Sławomir Mrozek był już czterdziestoletnim wdowcem.

Chwilowo zawarł kompromis ze swoim kudłatym demonem. Wprawdzie kolejne 20 lat miał przemieszkać w Paryżu, ale wciąż karmił Kudłatego różnymi podróżami. Rok spędził w Ameryce, wiele miesięcy w Skandynawii, Anglii, Wenezueli, Meksyku, Brazylii i w Niemczech. Reżyserował swoje sztuki, jeździł na premiery, uczestniczył w sympozjach. W Niemczech robił filmy dla Suddeutscher Rundfunk. W Ameryce wykładał pisarstwo na Penn State University. Przejechał samochodem z Kalifornii na Wschodnie Wybrzeże. Kudłaty spokojnie czekał. Dopiero w końcu lat siedemdziesiątych znów zaczął się wiercić. Wymyślał nowe miejsca, szeptał coś o ucieczce z wielkiego, dusznego miasta, popędzał w nieznane kraje, coraz natarczywiej powtarzał: „Co dalej? I co dalej?”

Mrozek się z jego obecnością oswoił. Może przemierzał świat wzrokiem po wymaginowanej mapie, może snuł marzenia, ale w gruncie rzeczy zbyt wygodnie żyło mu się w Paryżu, zanadto cenił swój drewnem wyłożony penthouse z widokiem na cztery strony świata, żeby znów wszystko zostawiać i pędzić gdzieś w nieznane. A jednak Kudłaty nie dawał za wygraną. W latach osiemdziesiątych podsunął wysepkę St. Pierre – francuskie terytorium u wybrzeży Kanady. Może to był fantazmat – może sny na jawie, intuicje, obsesje, które pojawiają się nagle i nieoczekiwanie znikają, ale w świecie już całkiem realnym odpowiadała im rosnąca potrzeba dokonania w życiu zasadniczego przewrotu – choćby i za cenę zamiany sytuacji najwygodniejszej na całkiem pionierską, choćby nawet luksusowe mieszkanie w śródmieściu Paryża trzeba było zamienić na jakąś kurną chatę. Bo jeśli nie, to: „Co dalej?” Czy już tylko od sztuki do sztuki? Od jednej premiery do drugiej? Z teatru do teatru? Z dnia na dzień? Z tygodnia na tydzień? Czy tak aż do końca? Aż stuknie sześćdziesiątka, chyba siedemdziesiątka, może osiemdziesiątka? A potem co jeszcze?

Pogrzeb gdzieś w Paryżu? Może pamiątkowa tablica, informująca, że „tu żył i umarł?”

Kiedy jesienią 1987 roku w życiu Sławomira Mrożka na dobre zagościła Susana, Kudłaty na chwilę zmarł. Ale jednak już wkrótce znowu zaczął szeptać. „Co dalej, panie Mrozek? Co dalej? I co dalej?”

Rok 1988 właściwie spędzili w zamknięciu. Mrozek siedział po parę tygodni w pracowni. Raz dziennie wychodził pobiegać na Pola Marsowe. Po godzinie zmęczony szumem miasta wracał do czterech ścian mieszkania. Tylko tam było mu dobrze – wśród ścian, sufitów, podłóg szczelnie pokrytych deskami, gdzie czuł się, jakby mieszkał we wnętrzu wielkich skrzypiec, przed oknami, z których rozciągały się nieskończone perspektywy czerwonych i zielonych dachów starego Paryża. Zamykał się w gabinecie, ale zamiast pracować, ustawiał żołnierzyki, rozgrywał wielkie bitwy, palił fajkę, siedział w bujanym fotelu i popadał w depresję. Nie chciało mu się pisać. Rzadko, tylko kiedy rzeczywiście koniecznie było trzeba, chodzili z Susaną na obowiązkowe bankiety. Siadali wtedy w kącie i coś sobie szeptali, jak nastolatki u ciotki na imieninach.

Wreszcie, któregoś jesiennego wieczora coś się w nim przelało:

– Mam dość paryskiej ciasnoty. W Meksyku jest przestrzeń.

– Tam zawsze będziesz obcy – odpowiadała Susana.

Rozmowa się urwała.

Parę dni później znów mu się wyrwało:

– Mam dość tego smogu. W Meksyku jest słońce.

– Ale nie ma teatrów.

Tu koniec rozmowy.

Susana już wcześniej sporo się nasłuchiwała o kudłatym Mrozkowym demonie. Ale czym dłużej mieszkała we wnętrzu wielkich skrzypiec, tym więcej sama miała z Kudłatym kłopotów. Coraz częściej rozmawiali z Mrozkim o dalekiej podróży, o wielkiej życiowej zmianie, ucieczce z dusznego miasta, o przeniesieniu się na wieś. Mrozek nie wyobrażał sobie siebie pochowanego w Paryżu. Susana coraz gorzej czuła się w metropolii przeżywającej najazd nie chcianych cudzoziemców. Ciemna karnacja skóry sprawiała, że czuła się w Paryżu osobą drugiej kategorii. Chwytała niechętnie albo pogardliwe spojrzenia konsjerżek, ekspedientek, urzędników na poczcie. Mrozek od lat obok polskiego miał już francuski paszport. Ona nawet nie chciała być obywatelką kraju, w którym zawsze będzie uważana za obcą. Woląла stracić bezpłatne ubezpieczenie i regularnie użerać się z prefekturą o przedłużenie pobytu.

W końcu 1988 roku pytanie: „Co dalej?” zostało zastąpione przez dylemat: „Gdzie jechać?” Wiedzieli, że na wieś. Ale konkretnie dokąd? St. Pierre gdzieś wyparowało. Polska wciąż jeszcze w grę raczej nie wchodziła. Na francuskiej prowincji ona by była niemile widzianą Arabką, a on w najlepszym razie dziwakiem zza żelaznej kurtyny.



Kiedy jesienią 1987 roku w życiu Sławomira Mrożka na dobre zagościła Susana, Kudłaty na chwilę zamarł

– We Francji będziemy zawsze cudzoziemcami drugiej kategorii. – Wyrwało się wreszcie Susanie. – W Meksyku byłibyśmy señor i señora Mrożek.

– Ale tam wszystko by było tylko na twojej głowie. Przez wiele miesięcy w sprawie wyjazdu tańczyli jakiś rytualny taniec, składający się z wypowiedanych na przemian zachęt i odrzuceń. Całymi miesiącami oboje już pewnie o niczym innym w skrytości nie marzyli, ale żadne nie chciało drugiego ku decyzji popychać. Susana bała się go zachęcać do życia w obcym kraju. Mrożek nie chciał jej namawiać do powrotu tam, skąd przecież uciekła i gdzie – siłą rzeczy – funkcjonowanie rodziny byłoby na jej głowie: walka z biurokracją, prowadzenie domu, cała ich egzystencja.

Ale z drugiej strony ona przecież doskonale wiedziała, że Mrożek do życia potrzebuje przestrzeni i że bająnskie pieniądze, które kosztował jego paryski penthouse, płacił głównie ze względu na widoki z okien, a w Meksyku było ich stać na przestrzeń nieporównanie większą niż gdziekolwiek w zachodniej Europie. On natomiast doskonale rozumiał, że w Europie Susana zawsze będzie podejrzanie ciemna – Arabka? może Cyganka? albo co gorsza Kurdyjka? – wiecznie narażona na kwaśne miny Francuzów, zaczepki na ulicy, nieufność policji. Na dodatek oboje sceptycznie patrzyli na przyszłość Europy – tracącej siłę witalną, zgubionej w dobrobycie, zalewanej przez obcych, a może już nawet stopniowo podbijanej przez przedstawicieli bardziej witalnych kultur – Azjatów, muzułmanów, różnych południowców.

Wreszcie musieli się ostatecznie przełamać. Kudłaty dobrze to wiedział i spokojnie czekał. W grudniu 1988 roku Mrożek pojechał do Sztokholmu reżyserować swoją własną sztukę. Susana miała dołączyć dopiero na sylwestra. Kudłaty tylko na to czekał. Przyłapał Mrożka samego, złapał mocno i już nie wypuścił. W południową szarówkę przewrócił go na zaśnieżonej sztokholmskiej ulicy. Uszkodził mu łękotkę. Z niesprawną nogą unieruchomił w hotelu. I samotnego dręczył. „W Meksyku śnieg nie pada... W Meksyku jest słońce... W Meksyku jest witalność, której tu brakuje... W Meksyku nikt by cię samego w hotelu nie zostawił... W Meksyku Susana na pewno byłaby z tobą... W Meksyku... w Meksyku... w Meksyku...”

Zanim przyjechała Susana, Mrożek wiedział na pewno, że resztę życia mogą spędzić już tylko w Meksyku.

Nigdy jeszcze Kudłaty nie przeżył takiego triumfu. Wszystkie jego wcześniejsze sukcesy były połowiczne. Przeważnie zostawała jakaś droga odwrotu, zawsze były jakieś obiektywne okoliczności, do których mógł się odwołać. Teraz po raz pierwszy gnał Mrożka – i to nie samego – na całkiem inny kontynent, kazał mu wszystko rzucić, likwidować piękne wnętrza skrzypiec, zrywać z przyjaciółmi (którzy na jego decyzję całkiem zgodnie reagowali pukając się w głowy), oddalić się od wydawców, agentów, teatrów i redakcji, a w dodatku robić to wszystko bez żadnego racjonalnego powodu, bez jednego choćby wyraźnego impulsu.

Wyjątkowe chwile uniesienia musiał Kudłaty przeżywać, gdy w maju 1989 roku Mrożkowie wybrali się do Meksyku na wielki rekonesans. Najpierw spędził z nimi tydzień u rodziny Susany w samym Mexico City, a potem dumnie im towarzyszył, gdy wynajętym pick-upem ruszyli w swoją pielgrzymkę do Ziemi Obiecanej. Zdawali już sobie sprawę, że żadne meksykańskie miasto nie wchodzi w rachubę. Bo miast w europejskim sensie praktycznie w Meksyku nie ma. Są tylko zapadłe miściny i różnych rozmiarów skupiska ludności. Piękno tego kraju zobaczyli w rozległych hacjendach będących odpowiednikiem europejskich szlacheckich majątków i w rodzinnych ranchach skalą przypominających poszlacheckie resztówki albo gospodarstwa zamożnych wielkopolskich chłopów.

Zaczęli od Michoacan, potem ruszyli na północ, a stamtąd na południe. Szukali dla siebie rancho. Przemierzali pustynną krainę kaktusów, skalne węzowiska, parne atlantyckie wybrzeże i wysokie góry. Oglądali resztki osiemnastowiecznej hacjendy i podmiejskie rancho przerobione na dachy bogatej klasy średniej. W dwa miesiące przejechali kilkanaście tysięcy kilometrów, zjeździli cały praktycznie Meksyk. Kilka razy już-już mieli coś kupować, ale zawsze musiało się okazać, że albo brakuje wody, albo jest za ciepło, albo wreszcie w żaden sposób nie da się skompletować papierów.

Dopiero teraz Mrożek zdał sobie sprawę ze skali przedsięwzięcia, na które się porwał. Przeżywał załamania, chciał się wycofywać, gotów był przed czasem wracać do Europy. Na przemian tracił i odzyskiwał wiarę, że może tu, wśród Indian, kaktusów, węży i skorpionów, znaleźć szczęście na resztę burzliwego życia. Tymczasem Kudłaty – pewnie z wrażenia – zamilkł, więc meksykańskie plany przetrwały głównie dzięki zrównoważeniu Susany i uporowi Mrożka odziedziczonemu podobno po chłopskich antenatach.

W końcu czerwca z pustymi rękami wracali do Mexico City. Gotowi już byli osiedlić się w Prowansji, kiedy brat Susany najpierw podpowiedział poszukiwanie w okolicy Tlaxcala – w meksykańskiej Szwajcarii, jak mówiła Susana – jakieś 60 km od Mexico City, a potem – dosłownie w przededniu wyjazdu – przyniósł wiadomość, że niedaleko jakiegoś śmiesznego Rio Frio, gdzie lata są chłodne, a zimy łagodne, wystawiono na sprzedaż rancho o banalnej nazwie „Les Flores”, czyli „kwiatki”, położone jak na Meksyk raczej niezbyt wysoko, bo raptem 2700 metrów ponad poziomem morza, niezbyt duże i trochę już zagospodarowane.

Na miejsce dotarli pod wieczór. Stanęli przed zamkniętą na głucho solidną żeliwną bramą oddzieloną od drogi głębokim na dwa metry rowem, który mógł też być fosą albo naturalnym korytem okresowego strumienia. Parę metrów za bramą teren rancho dość gwałtownie opadał odsłaniając sięgający po horyzont widok kolejnych pasm górskich. Mrożkowi ta perspektywa przypominała Beskidy, bo pozbawiona była typowej dla Meksyku bezładnej surowości. Między zalesionymi górami pracowicie wiły się drogi. Przy nich tu i ówdzie stały jakieś domy.

Na lewo od bramy widać było rozległe zabudowania. Na dwóch najwyższych ułożonych w

podkowie tarasach stały dwa wyraźnie mieszkalne budynki i coś, co mogło być długą szopą, barakiem lub stajnią. Po tarasowo opadającym ogrodzie przechadzała się owca skubiąca ogromne meksykańskie agawy. Na przeciwległym wzgórzu majaczyły budynki miasteczka zdominowanego przez sylwetkę typowo meksykańskiego kościołka z zakończoną miękkim łukiem dzwonnica. Paręset metrów dalej na niewielkim porośniętym ogromnymi agawami pagórku, gdzie zaczynała się wioska typowa dla Indian Pueblo, rozciągał się widok na drzemiące w odległości 20 kilometrów wulkany.

Kiedy po zmroku wjeżdżali do Mexico City, oboje byli pod ogromnym wrażeniem tego, co po dwóch miesiącach wędrówki i poszukiwań tak nieoczekiwanie udało im się znaleźć. Kudłaty zaś uparcie powtarzał, że to jest właśnie ich miejsce na Ziemi. I brzmiał przekonywająco.

Część II

Przeczytałem w gazecie, że Apokalipsy nie będzie.

Żeby uczcić tę dobrą nowinę, poszedłem do McDonald'sa i zamówiłem hamburgera. (...) Dotychczas konsumowałem bez entuzjazmu, ponieważ żyłem w oczekiwaniu katastrofy. Po co właściwie ketchup, gdy i tak zmierzamy ku katastrofie? Ale teraz świat ma przyszłość. Więc dołożyłem sobie jeszcze ketchupu, bo teraz już warto. (...) Trzeciego dnia zauważyłem, że konsumując podwójny ketchup po raz trzeci, nie dotrzymuję kroku swojej epoce. (...)

Co dalej? Nieubłagany rozwój konsumpcji wymagał ketchupu siedmiokrotnego, a później ośmio-, dziewięcio-, dziesięciokrotnego i tak dalej bez końca, bo teraz, gdy Apokalipsę odwołano, przyszłość nie miała już kresu. Załóżmy, że przetrzymam keczup nawet dziesięciokrotny. Ale później?

Podpaliłem McDonald'sa, tu chodziło o życie. Pożar nie był wielki, gdzie mu tam do Apokalipsy, ale lepsze to niż nic”.

Mężczyzna, który 12 stycznia 1990 roku napisał te słowa, w pewnym sensie sam właśnie „podpalił swego McDonald'sa”, by zacząć nowe życie na skraju cywilizacji. Teraz postawił ostatnią kropkę krótkiego opowiadania, złożył pod nim podpis kreślony mocno geometrycznym pismem i przystąpił do troskliwego rozcierania zgrabiałych przy pisaniu dłoni. Płaszcz, w którym siedział przy stole jakby wyjętym z dekoracji „Pierścienia Nibelunga”, w żadnym razie nie dawał wystarczającej izolacji przed chłodem i przenikliwą wilgocią panującymi w praktycznie nie ogrzewanym rozległym pomieszczeniu. Za niezbyt szczelnymi oknami z nieba – jak co dzień o tej porze – równomiernie lała się woda, a zapadający zmrok co chwila rozświetlały widlaste błyskawice uderzające w okoliczne wzgórza.

Kiedy po dłuższej chwili skóra przemarzniętych dłoni straciła wreszcie szorstkość, mężczyzna wstał od stołu, wziął z kredensu błękitną lotniczą kopertę, włożył do środka maszynopis swego opowiadania i starannie wypisał londyński adres redakcji „The European”, czyli „Europejczyka”, w którym miał swoją cotygodniową kolumnę. Mógł już teraz spokojnie sięgnąć po stary szkicownik i powrócić do ulubionego ostatnio zajęcia, jakim było projektowanie przyszłego kształtu posiadłości.

Od blisko trzech tygodni razem z żoną, obarczonym liczną rodziną dozorcą, tajemniczym sznaucerem Otellem i trzema rasowymi końmi mieszkał w tym małym, obejmującym niespełna 2 hektary, rancho położonym na górskim zboczu paręset metrów przed miasteczkiem Tlahuapan, w powiecie Tlaxcala, prowincji Puebla, jakieś dwie i pół godziny jazdy od centrum Mexico City. Przez owe trzy tygodnie on i jego żona zdążyli już nieco przywyknąć do dziwnie pionierskich warunków, które tu panowały.



W całej stajni jeden tylko poczciwy czarny jak noc Cuervo, nieco może przydługi wałach, podobno półkrwi angielskiej, miał na tyle rozumu i końskiej ogłady, by móc po niewielkim padoku nosić
Sławomira Mrożka

W potwornym chłodzie i ciągłym deszczu, zakutani we wszystko, co mieli, wśród tysięcy wielkich czarnych pajaków, które wyjątkowo upodobały sobie to zapomniane do niedawna miejsce, snuli dalekosiężne plany stworzenia na tym zboczku kawałeczka Raju.

Chwilowo tylko owe brzmiące dosyć fantastycznie wizje dodawały im sił koniecznych, by tu trwać. Bo – chociaż oboje całkiem świadomie porzucili paryskie luksusy dla meksykańskiego pustkowia – nie chodziło im przecież tylko o to, by przetrwać w egzotycznej samotni. Przywieźli tu z Europy swój życiowy projekt, wizję własnego szczęścia w tym miejscu, któremu nadali dumnie brzmiące imię „La Epifania” – czyli objawienie.

Kupili – co tu gadać – właściwie „kota w worku”. Ani pobieżne oględziny dokonane jesienią, ani tym bardziej zdjęcia zabudowań, które do Paryża wysyłała mężowi Susana, sama załatwiająca wszystkie formalności związane z zakupem rancha, nie ujawniły oplakanego stanu posiadłości. Szydło wyszło z worka, gdy w Pierwszy Dzień Świąt Bożego Narodzenia 1989 roku państwo Mrożkowie zjechali do Epifanii z dwoma walizkami dobytku, bo reszta rzeczy z paryskiego mieszkania jeszcze przez parę tygodni miała podróżować w stalowym kontenerze.

Przywitały ich parostopniowe mrozy, wichura, burze z mnóstwem piorunów oraz marznąca nad ziemią mżawka. Lejąca się z nieba woda bez przeszkód wpływała do budynków przez dziurawe dachy i ciskana potężnym wiatrem wiejącym chyba od samego oddalonego o tysiąc kilometrów oceanu, wdzieriała się przez nieszczelne, powypaczane, mocno przegniłe okna. W salonie la Casa Grande, czyli reprezentacyjnego budynku owej posiadłości, mokry wiatr hulał między stołem Nibelungów a zajmującym całą ścianę, marmuroworóżowiułkim kominkiem a la domek Barbie, który poprzednia właścicielka kazała skopiować z wydrukowanego w kolorowym magazynie zdjęcia przedstawiającego rezydencję jakiejś amerykańskiej gwiazdy. Pretensjonalna forma nie była jednak najgorszą wadą różowego kominka. Jego całkowicie dyletancka konstrukcja powodowała bowiem, że do salonu przez komin wdzieriała się wichura, a każda próba rozpalenia ognia prowadziła do

wypełnienia wnętrza czarnym dymem i sadzą.

W sąsiadującej z salonem ekstrawaganckiej łazience, której połowę zajmowała ogromna, sprowadzona z Europy, wanna typu jacuzzi, nie było światła ani ciepłej wody. Podobnie było w kuchni, z której kanalizację wyprowadzono w taki sposób, że pomyje z makaronem wypływały na trawę w środku ogrodu. Całe rancho pozbawione było telefonu i prądu, a gaz podgrzewający termę w jedynej działającej na rancho łazience La Cabañy, czyli położonego poniżej Casa Grande sporego gościnnego domku, czerpany był z niewielkiej szybko opróżniającej się butli.

Obraz tego rancho chyba dość wiernie oddawał usposobienie poprzednich właścicieli. Señor Gringa, typowo meksykański kapryśny bogacz, kupił je, by spełnić zachciankę swej amerykańskiej żony. Meksyk przeżywał wówczas lata gospodarczego cudu. Oszołomiona strumieniem naftowych dolarów gwałtownie się bogacąca miejscowa klasa wyższa wydawała pieniądze równie łatwo, jak je zarabiała. W Meksyku lat osiemdziesiątych nikogo nie dziwiły ani pozbawione dopływu wody włoskie wanny jacuzzi, ani nie działające kominki z europejskiego marmuru budowane w letnich posiadłościach miejscowych multimilionerów.

Nie było też nic nadzwyczajnego w tym, że 7 rasowych, wysokiej klasy koni, które señor Gringa zgromadził w tym rancho, żywiło się wszystkim, co im się udało wyskubać w ogrodzie – ozdobnymi krzewami, orchideami, w ostateczności korą owocowych drzewek – bo państwo całymi miesiącami nie pojawiali się w posiadłości i nie dawali rządcy pieniędzy na paszę dla zwierząt. A skoro w nikomu niepotrzebnym ogrodzie niepotrzebne rancho pasły się niepotrzebne konie, to przecież nie było nic dziwnego i w tym, że mogły się przy nich wyżywić dwie użyteczne meksykańskie owce, które hodował rządca.



Susana – de facto była tutaj rancho, czyli gospodarzem – bo zawiadowała służbą i robotnikami; trzymała kasę i gotowała dla wszystkich, próbując jednocześnie nauczyć gotowania Flor – żonę Paco

Trudno natomiast powiedzieć, czym ów, jak całe rancho, zapomniany przez swoich chlebobawców rządcą żywił Otella – olbrzymiego czarnego brytana. Mroźkowie znaleźli go szalejącego ze złości i głodu, uwiązane na łańcuchu przytwierdzonym do cementowej kolumny czegoś, co ponoć miało się stać budynkiem dochodowej psiarni, lecz się nim nigdy nie stało, z przyczyn równie oczywistych (lub równie niepojętych), co instalowanie jacuzzi w pomieszczeniu pozbawionym ciepłej wody. Jak wiele rzeczy w Meksyku – coś tu zostało zaczęte i nigdy nie skończone. Był jakiś pomysł, może nawet dobry, wydano trochę pieniędzy, włożono trochę pracy, a potem pomysł się zmienił, następne pieniądze zainwestowano gdzie indziej, po starym pomysle zaś pozostała pamiątka w postaci cementowych kolumn stojących w połowie ogrodu i przykutego do nich tajemniczego Otella.

Pędząc życie w upokarzającej niewoli Otello przestawał ujadać tylko wtedy, gdy na krótko usypiał. Żył więc od lat z solidnie wyszczekaną opinią wściekłego ludojada groźnego dla każdego, kto się do niego zbliży nie wyłączając i samego rządcy od czasu do czasu podsuwającego mu miskę z pomyjami. Na rozkaz nowych państwa solidnie nakarmiony i puszczony z łańcucha poprzestał tymczasem na niegroźnym kłapanięciu ogromnymi szczękami. Biegał od tej pory, gdzie chciał, ujadając nieporównanie oszczędniej. Ale im więcej miał swobody, tym lepiej było widać, jak wielka przepaść dzieli go od zwykłego łańcuchowego burka. Tym bardziej frapująca stawała się więc i jego psia tajemnica, którą sygnalizował nie tylko szlachetną budową swego sprężystego ciała, ale też widoczną dla tych „co są za psami” pełną elegancji harmonią każdego swego ruchu.

Cała wielka – choć przecież psia – uroda Otella ukazała się jednak dopiero kilka dni później, kiedy oswojony już z odzyskaną wolnością, poddał się kąpieli i fachowemu strzyżeniu. Wtedy też w jakiejś mierze wyjaśniła się jego psia tajemnica. Pod warstwami skołtunionej, od lat nie pielęgnowanej sierści Mroźkowie odkryli bowiem nie tylko naturalne piękno harmonii psiego ciała, ale i wypalone przed laty tajemnicze znamię. Okazało się ono znakiem cennego zwycięstwa odniesionego przez wzorowego sznaucera olbrzyma na prestiżowej kalifornijskiej wystawie. Od tej pory Mroźkowie darzyli Otella nie tylko respektem wzbudzonym przez jego potężne zębiska, ale też poważaniem należnym psiemu arystokracie – zapewne niedoszłemu założycielowi hodowlanej dynastii.

By dopełnić opisu żywego inwentarza, trzeba w tym miejscu wspomnieć o trzech wierzchowych koniach, które państwo Gringowie przy transakcji dorzucili dla równego rachunku. Prymat w stajni dzierżył niewątpliwie szalony Bucefalo, piękny okaz lokalnej rasy azteca, przed laty poniewczasie wałaszony ze skutkiem połowicznym. Jakiś miejscowy konował na zawsze pozbawił go szansy posiadania potomstwa, ale zrobił to zbyt późno i zbyt niekompetentnie, by pozbawić go również najbardziej nieprzyjemnych cech jurnego ogiera, który zrzuci ze swego grzbietu każdego, kto go dosiądzie, i z nie mniejszą przyjemnością kopnie lub ugryzie tego, kto się doń tylko zbliży.

Niespełnioną parę dzikiego Bucefalo stanowiła Gardenia, biała klacz rasy portugalskiej, życzliwa kobietom i chętnie nosząca angielskie damskie siodło, ale absolutnie nie tolerująca żadnego ludzkiego samca, który chciałby się do niej zbliżyć lub, nie daj Boże, próbował jej dosiąść okrakiem. Tak więc w całej stajni jeden tylko poczciwy, czarny jak noc Cuervo, nieco może przydługi wałach podobno półkrwi angielskiej, miał na tyle rozumu i końskiej ogłady, by móc po niewielkim padoku nosić Sławomira Mroźka. Chwilowo jednak na konne przejażdżki nikt tu nie miał czasu, bo przecież ruiny „Los Flores” miały się niebawem przeobrazić w dumną „La Epifanię”.

Państwo Mroźkowie tymczasem zamieszkali na stryszku La Cabañy w nie używanej od lat

gościnnej sypialni, jak całe rancho opanowanej przez czarne pająki i pozbawionej prądu oraz ogrzewania. Wytrzymali tam dwie noce w parostopniowym mrozie, ale natychmiast po świętach wybrali się do Tlaxcali po gazowy piecyk, by ogrzać przynajmniej skromną sypialenkę.

Mały piecyk podłączony do butli chwilowo był na rancho jedynym źródłem ciepła. Nikt jednak nie narzekał. Mrożkowie, bo żyli budującymi wizjami przyszłości, a Paco Guzman, nowy rządcą, którego Susana wynajęła jesienią, bo nie widział nic dziwnego w tym, że wraz z żoną i 4 córkami gnieździł się w zwolnionym przez poprzednika nie ogrzewanym pokoiku przyziemia Casa Grande.



„Mam czegoś chciał”, z absolutną szczerością mawiał Mrozek, gdy podczas wielkiego krakowskiego „Mrozek Festival” – między naukowymi sesjami dla uczczenia jego sześćdziesiątych urodzin i uroczystymi paradami jamników pod Sukiennicami – opowiadał o swoim meksykańskim rancho, leżącym pod wulkanem, przy drodze do Rio Grande

Wreszcie Indianie Pueblo żyją tak od zawsze w swoich budowanych z wypalanej słońcem cegły i pozbawionych drzwi domach, do których zimowe wiatry i wilgoć bez przeszkód dostają się poprzez zasłaniające wejście wielobarwne kocy. Zresztą kilkunastometrowy pokój Guzmanowie mogli jako tako ogrzać swoimi sześcioma oddechami. Ostatecznie kiedy mróz stawał się dokuczliwy, najmniejsze dzieci po prostu nie wstawały z łóżek, a dorośli mieli dość roboty, żeby nie narzekać na chłody.

Budowę Epifanii zaczęli Mrożkowie od wielkiego sprzątnia, trucia pajaków i łatania dziurawych dachów. Potem wzięli się za ogrzewanie, hydraulikę i doprowadzenie prądu. Przez bite 2 miesiące hydraulicy pracowali i mieszkali na miejscu. Razem z nimi dekarze, potem elektrycy, stolarze, murarze. Sławomir od świtu jeździł kamionetką, zwoził materiały, nosił cegły, pracował na budowie, w przerwach – w zimnie i zgiełku – pisywał swoje opowiadania dla „Europejczyka”, a wieczorami pracowicie szkicował plany dalszych inwestycji.

W Casa Grande różowy kominek Barbie miał zostać zastąpiony rozrysowaną przez Mrozka kopią kominka z Pałacu Wilanowskiego. Między bramą a stajnią miała stanąć La Casa Della Guardia, czyli formalnie „stróżówka”, a faktycznie rozległy pawilon służbowy z

komfortowym mieszkaniem dla Paco i jego rodziny. Vis-à-vis bramy, na przeciwnym do Casa Grande końcu ułożonego w rógal najwyższego tarasu. Mrozek zaplanował La Torre, nieco ekscentryczną czteropiętrową wieżę mieszczącą biuro Susany, jego gabinet i przykryty czterospadowym dachem El Mirador, czyli widokowy taras z otwartą perspektywą na cztery strony świata. W samej Casa Grande ponury składzik przyziemia, z którym sąsiedował zimny pokój Guzmanów, przerabiano na nowe mieszkanie państwa Mrozków.

Susana – która de facto była tutaj rancho, czyli gospodarzem – bo zawiadowała służbą i robotnikami, trzymała kasę i gotowała dla wszystkich próbując jednocześnie nauczyć gotowania Flor – żonę Paco – już wkrótce po przyjeździe potrafiła docenić zalety Guzmanów. Oboje – Flor i Paco – łączyli meksykańską witalność z umysłowością zupełnie nie latynoską, lecz zgoła europejską. Szybko się uczyli, byli – co w tych stronach rzadkie – samodzielni i solidni w pracy, a na dodatek umieli zorganizować i dopilnować innych. To dzięki tym ich cechom niespełna pół roku po lądowaniu w Meksyku, gdy wielkie budowlane roboty wciąż szły pełną parą, Mrozkowie ze spokojnym sumieniem mogli, prosto od cegieł i wapna, na blisko 3 tygodnie wyrwać się do Krakowa.

„Mam czegoś chciał”, z absolutną szczerością mawiał Mrozek, gdy podczas wielkiego krakowskiego „Mrozek Festival” – między naukowymi sesjami dla uczczenia jego sześćdziesiątych urodzin i uroczystymi paradami jamników pod Sukiennicami – opowiadał o swoim meksykańskim rancho leżącym pod wulkanem, przy drodze do Rio Grande. „To rancho jest moim miejscem na ziemi”, deklarował po wielkiej „galopadzie” na drewnianym koniu, którego z samym Sławomirem Mrożkiem na grzbiecie w triumfalnym pochodzie ciągnął ulicami Krakowa traktor marki „Ursus”.

Kiedy wymęczeni, ale i zbudowani krakowskim świętowaniem w połowie lata wracali do swojego rancho, z błota i harmidru trwającej budowy wyłaniał się już przyszły kształt właściwej „La Epifanii”. W salonie Casa Grande ku zachwytowi wszystkich działał wilanowski kominiek, kanalizacja była w zasadzie skończona, posuwała się budowa La Torre i Casa de la Guardia, w przyziemiu Casa Grande gotowe były sypialnie państwa Mrozków. Był też nareszcie prąd doprowadzony własną parokilometrową linią.

Jesień upłynęła na kończeniu budowy. W początkach grudnia widać już było finał. Wszystko wskazywało na to, że swoją drugą meksykańską zimę Mrozkowie spędzą dokładnie tak, jak sobie wymarzyli. W połowie grudnia wielkim balem z orkiestrą uroczystie zakończyli budowę. Zaprosili przyjaciół, robotników i służbę – w sumie 60 osób. Bawili się jak szaleni do 5 nad ranem. Sławomir dumny ze swego wielkiego dzieła oprowadzał gości po rancho, opowiadał, co tu zastali przed niespełna rokiem i co zamierzają dalej. Tańczył i śpiewał do rana.



Z błota i harmidru trwającej budowy, wylaniał się już przyszły kształt właściwej „La Epifanii”. W salonie Casa Grande, ku zachwytowi wszystkich, działał wilanowski kominek, kanalizacja była w zasadzie skończona, posuwała się budowa La Torre i Casa de la Guardia

Nazajutrz wszyscy mieli gigantycznego kaca po tequili, szampanie i francuskich winach. Wieczorem pierwszy raz z poczuciem dobrze wykonanej roboty Susana i Sławomir usiedli w Casa Grande przy cudownie grzejącym wilanowskim kominku. Trochę tańczyli we dwoje. Potem Mrozek śpiewał swoje ulubione meksykańskie piosenki – „Solamente una vez” i „Noche de Ronda”. Rano miał kaca gorszego niż po wielkim balu. Nazajutrz czuł się jeszcze gorzej. Przez następne 5 dni kac wcale nie mijał, lecz jakby się nasilał. Wreszcie było już tak niedobrze, że zdecydowali się pojechać na badania do oddalonego o jakieś 20 kilometrów lokalnego szpitala w miasteczku San Antini. Stwierdzono bardzo wysokie ciśnienie i zalecono szpitalną obserwację.

Na Wigilię zwolniono Mrozka do domu. Rano czuł się nieźle, ale wieczorem, przy kolacji z rodziną Susany, znów potwornie rozboleła go głowa. Musiał wstać od stołu ustawionego przy wilanowskim kominku i pójść się położyć. Chwilę później Susana znalazła go w sypialni właściwie nieprzytomnego. Wyglądał jak człowiek, który właśnie umiera. W San Antini, gdzie zawiozła go z bratem, znów stwierdzono wysokie ciśnienie i zaordynowano podawanie morfiny.

Susana miała wrażenie, że obok niej wypełnia się jakiś biblijny archetyp – jej mężczyzna, który wreszcie zbudował swój dom, zabiera się, by teraz odejść z tego świata. Postanowiła, że mu na to za nic nie pozwoli. Z powrotem zapakowała półprzytomnego do samochodu i jak mogła najprędzej zawiozła do najlepszej w Mexico City kliniki British-American Hospital. Obok Susany i jej młodszego brata naprzeciw fatum stanął teraz przypadkiem pełniący świąteczny dyżur dr Lopez Velarte, wnuk wielkiego meksykańskiego poety, wykształcony w Bostonie doskonały kardiolog, najwybitniejszy w tym kraju specjalista od diagnozowania tętniaków. Być może tylko on w całym Mexico City mógł wystarczająco szybko postawić prawidłową diagnozę, by uratować życie Sławomira Mrozka. Ale do szybkiego postawienia diagnozy niezbędna też była nowoczesna aparatura, którą także przypadkiem sprowadzono właśnie do British-American Hospital i którą wprawdzie już zainstalowano, ale której oficjalnie nie oddano jeszcze do użytku. Więc trzeba było kolejnego przypadku polegającego

na tym, że dr Velarte był nie tylko wyśmienitym lekarzem, ale też człowiekiem wystarczająco odważnym i zdecydowanym, by włamać się do zaplombowanego pomieszczenia z superaparaturą i uruchomić ją na własną odpowiedzialność. Dzięki temu w niespełną godzinę diagnoza była gotowa.

Kiedy badania zostały nareszcie zakończone, dr Lopez Velarte nie miał dla Susany dobrych wiadomości. Natychmiastowej operacji wymagał rozległy tętniak aorty, która rozciągnęła się do tego stopnia, że od wielu dni krew coraz obficiej przedostawała się przez jej osłabione ścianki. Przemakającą tętnicę na całej długości szyi trzeba było natychmiast zastąpić teflonowym implantem. Nikt jednak nie mógł zagwarantować, że niedokrwiony od wielu dni mózg wytrzyma tę operację. Szanse pacjenta zwiększał wprawdzie kolejny szczęśliwy przypadek, który sprawił, że w bloku operacyjnym dyżurował jeden z najwybitniejszych w Meksyku specjalistów od chirurgii naczyń, ale i tak prawdopodobieństwa przeżycia nie oceniano wyżej niż 1:10.

Gdy chirurdzy szykowali się do operacji, dr Velarte przygotowywał Susanę na to, co ją czeka, jeżeli pacjent mimo wszystko szczęśliwie przeżyje. Po pierwsze należało się liczyć z uszkodzeniem części niedokrwionego mózgu, co mogło oznaczać trwałe lub okresowe upośledzenie różnych życiowych funkcji – od świadomości po ruch którejs z kończyn. Po drugie teflon, z którego wykonano implant, przez mniej więcej pół roku wydzielał miał substancje powodujące między innymi poważne zaburzenia psychiczne określane jako paranoja kliniczna – lęki, obsesje, agresję. Po trzecie odróżnienie trwałych zmian wywołanych uszkodzeniem mózgu i przejściowych wywołanych działaniem teflonu miało być możliwe dopiero kilka miesięcy po wszyciu implantu.



Susana miała wrażenie, że obok niej wypełnia się jakiś biblijny archetyp – jej mężczyzna, który wreszcie zbudował dom, zabiera się, by teraz odejść z tego świata

Rano, gdy jedenastogodzinna operacja dobiegała końca i było już wiadomo, że przebiegła wzorowo, Susana pojechała na rancho po czeki i karty kredytowe potrzebne do zapłacenia za szpital. Kiedy wróciła po kilku godzinach, operacja była dawno skończona, a Sławomir został już przewieziony do osobnego pokoju. Wkroczyła tam w sam środek dramatycznej bitwy. Mrozek obudził się z przekonaniem, że wzięto go do niewoli i umieszczono w wojennym lazarecie. Młodego Polaka, który przypadkiem dowiedział się o jego operacji i wiedziony ciekawością przyjechał zobaczyć, jak się chory czuje, uznał za obcego agenta usiłującego wydobyć z niego wojskowe tajemnice. W nieprzytomnym szale powyrywał kroplówki, stłukł monitor cennej aparatury, zaczął się szarpać z grubymi pielęgniarkami, nic a nic nie potrafiącymi zrozumieć z jego polskich okrzyków, które młody Polak jak mógł przekładał na hiszpański.

– Señor Mrozek – próbowały spokojnie tłumaczyć – tu nie ma żadnej wojny. Tu jest brytyjsko-amerykański szpital w Mexico City.

Co dokładnie mówiły, nie miało zresztą żadnego znaczenia, bo Mrozek i tak ich nie rozumiał, albo może nie słuchał i z bezwzględny uporem za wszelką cenę chciał się wydostać z wyimaginowanej niewoli. Susana wpadła w panikę.

– Sławomir! – przekrzykiwała panujący harmider. – Masz natychmiast przestać! To urządzenie kosztuje milion dolarów! Jeżeli je zniszczysz, nie wypłacimy się nigdy.

Ją zrozumiał od razu. Usiadł na łóżku. Uspokoił się. Zaczął bardzo przepraszać. Ze zdziwieniem rozglądał się po pobjowisku. Bez oporu pozwolił znów podłączyć się do kroplówek i różnych elektronicznych urządzeń.

Chwilowo niebezpieczeństwo minęło, ale było wiadomo, że to dopiero zapowiedź tego, co się będzie działo. Przez następne godziny Mrozek miał tylko na krótko odzyskiwać świadomość, a nawet wtedy, gdy robił wrażenie całkiem przytomnego, nie potrafił się porozumieć z personelem szpitala. Mówił wyłącznie po polsku i złościł się, że nikt go tu nie rozumie. Tylko na widok dr. Lopeza Velarde wydobywał z siebie pojedyncze angielskie słowa, ale właściwie nie było wiadomo, czy potrafi dokładnie swego lekarza zrozumieć. W miarę sprawnie porozumiewał się z jedną tylko Susaną, z którą rozmawiali swoim potocznym domowym językiem łączącym angielski z francuskim i hiszpańskim.

Wieczorem obok wysokiego, otoczonego siatką i obstawionego medycznymi aparatami łóżka Sławomira przerażone salowe ustawiły Susanie polówkę. Położyła się na niej, ale właściwie nie spała, bo najpierw bała się oderwać wzrok od monitorów pokazujących, że Sławomir żyje, a potem pojawiły się kolejne majaki, które ze zmiennym nasileniem miały trwać miesiącami. Niemal zawsze były to jakieś wojenne upiory, w których wrogami byli faszyci albo komuniści. Raz był przekonany, że zaśnieżonymi fiordami uciekają właśnie do wolnej Finlandii, kiedy indziej, że próbują się przedostać pociągiem do bezpiecznej Hiszpanii. Przez dłuższy czas żył w przekonaniu, że Castro porwał ich na Kubę i że są przetrzymywani w jakimś okrętowym szpitalu. Bardzo długo żadne logiczne argumenty nie mogły rozbić tego przekonania. Nawet kiedy Susana pokazywała mu oznakowaną pościel British American Hospital, powtarzał z uporem, że w życzliwym Kubańczykom Meksyku Castro mógł bez trudu taką pościel zdobyć. Po kilku burzliwych dniach Susana zapewne by się załamała, gdyby nie dr. Velarde, który jej powtarzał, że część chorobowych objawów niebawem zacznie mijać.

Wkrótce zaczął też Susanę wspomagać reżyser Ludwik Margulis – emigrant z Polski od 30 lat mieszkający w Meksyku – którego Mrozek zaakceptował w roli swojego tłumacza. To chyba on pierwszy po kilku kolejnych dniach zwrócił Susanie uwagę, że Mrozek wciąż zupełnie nie rozumie mówiących po hiszpańsku grubych i starych szpitalnych pielęgniarek, których wizyty nieodmiennie budziły w chorym agresję, ale jego agresywność jest już

zdecydowanie mniejsza i hiszpański bardzo się poprawia, jeśli tylko pielęgniarzki są ładne i młode.

Tak jak zapowiadał dr Lopez Velarde, różne funkcje mózgu wracały jedna po drugiej, chociaż czasem pojawiały się w zaskakującej sekwencji. Na początku lutego, kiedy trzeba było szpitalowi zapłacić kolejną słoną ratę, Mrozek nie potrafił się podpisać na czeku i ktoś ze znajomych musiał jego podpis sfałszować. Ale już kilka godzin później, kiedy uświadomił sobie, że wyczerpuje się zapas opowiadań zgromadzony w redakcji „The European”, zażądał stoliczka, papieru oraz długopisu i zabrał się do pisania. W parę godzin napisał wówczas zgrabną historyjkę o „komputerze zdrowia”, a w rzeczywistości o tym, jak w ostatnim czasie postrzegał sam siebie. „Co ten pajac jeszcze tu robi?” – pytał fikcyjny komputer zamiast podać „ocenę stanu zdrowia i potencjału egzystencjalnego” narratora – swego właściciela, którego uznał za „beznadziejny przypadek”.

- „Prosiłem, żeby go wyregulować” – skarżył się narrator sprzedawcy komputera.
- „Więcej się nie da – oświadczył sprzedawca. – Przekręciłem śrubę do oporu.
- A może by go młotkiem...
- Spróbuję.
- Ty na mnie z młotkiem, trupie? – odezwał się (...) komputer.

Wyrzuciłem komputer i kupiłem sobie lusterko. Tanie i proste w użyciu, zawsze powie, czy jestem rumiany czy blady. A przede wszystkim nie ubliża”.

Podpis autora pod tekstem nie budził już najmniejszych zastrzeżeń. Funkcja pisarska wróciła jako jedna z pierwszych. Mrozek wciąż jeszcze nie mówił po hiszpańsku, wściekał się na brzydkie pielęgniarzki i nie był w stanie opanować obsługi pilota od telewizora, ale kolejne opowiadania regularnie co tydzień wędrowały pod adres londyńskiej redakcji. Z punktu widzenia „Europejczyka” tej choroby po prostu nie było.

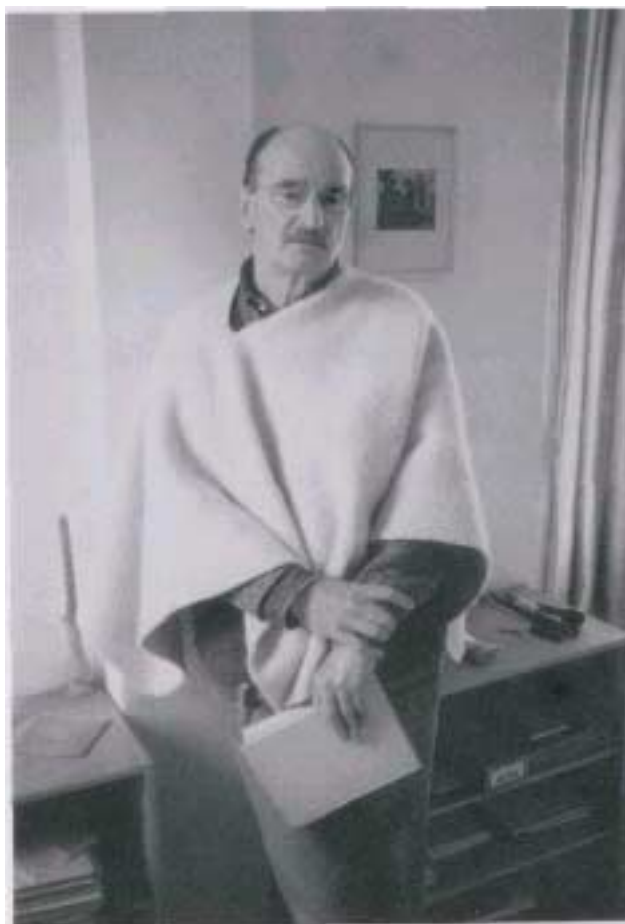
Zmartwychwstawał cudem.

Zdawał sobie z tego sprawę tym lepiej, im dłuższe były remisje paranoicznego delirium. Już w końcu lutego dr Lopez Velarde mógł z dumą pozwolić pacjentowi na opuszczenie szpitala. Jeszcze przez dwa tygodnie Sławomir musiał codziennie zgłaszać się na kontrole, więc chwilowo Mrożkowie zamieszkali u matki Susany w samym Mexico City, ale około połowy marca mogli ostatecznie wrócić do swojej Epifanii.

Sławomir znów mówił po angielsku, nie tracił świadomości, potrafił zachowywać się właściwie normalnie, ale w środku wciąż miotają nim lęki, depresje i drżączki. Całymi dniami żył w lęku lub w strachu przed lękiem. Kiedy patologiczne napięcie wreszcie na krótko mijało, pojawiała się upiorna obawa, że tak już będzie zawsze, że nigdy nie odzyska prawdziwego spokoju, że już nie wróci pamięć tego wszystkiego, co po operacji przypadło w czarnych czeluściach amnezji. W miarę jak odzyskiwał pamięć i umiejętność samodzielnego działania, stopniowo pozbywał się jednak może najpotworniejszego strachu: że na całe życie zostanie – jak sam mówił – idiotą wymagającym opieki i miotanym absurdalnymi delirycznymi lękami, nad którymi w żaden sposób nie może zapanować.

Emocjonalne burze starał się zwalczać zmuszając się do rutynowego działania. Wstawał regularnie o 9 rano, przez rozum zjadał śniadanie, potem siadał do pracy. Czytał prasę, odpisywał na listy, pisał opowiadania dla „Europejczyka”. Godziny, które spędzał na pisaniu, były dla Susany chwilami wytchnienia, bo zachowywał się wówczas jak zupełnie zdrowy. Rzemieślnicza pisarska solidność sprawiała, że kiedy nadchodził termin wysyłki kolejnego tekstu, potrafił pokonać dręczące go obsesje, przełamać obezwładniające uczucie bezradności i zdobyć się na skupienie konieczne, by tworzyć. Jemu samemu świadomość, że mimo wszystko znów jest w stanie pisać, dodawała spokoju. Neurony pisania łagodziły aktywność potężnych neuronów lęku. Widział w ich działaniu dowód, że naprawdę żyje, że nie jest tylko – jak nieraz o sobie myślał – miotanym emocjami kłębkim rozszalałych nerwów i zużytych wnętrzności.

Tymczasem ciało goiło się szybciej niż nerwy. Latem dr Lopez Velarde uznał, że stałe kontrole szpitalne nie są już potrzebne, ale Mrożka ciągle dręczył niepokój, a napady lęku paraliżowały go często na wiele długich godzin. Kiedy od operacji minęło pół roku, a lęki i urojenia, wbrew obietnicom lekarzy, wciąż trwały, Susana uznała, że aby się ich pozbyć, Sławomir potrzebuje przełomu, odmiany, szoku, który zmusi go do skoncentrowania się na czymś innym niż własna choroba. Po serii dramatycznych rozmów zdołała go przekonać do samodzielnego wyjazdu na minifestiwal jego sztuk organizowany w Sztokholmie.



Zmartwychwstałem cudem

Oboje mieli nadzieję, że kiedy Mrozek, zdany tylko na siebie, będzie musiał odbyć transkontynentalną podróż, poruszać się po Sztokholmie, pamiętać o lekarstwach, jedzeniu, praniu, formalnościach, kiedy z jego życia na jakiś czas znikną sytuacje i miejsca, w których przez ostatnie pół roku tyle razy cierpiał, kiedy wreszcie zabraknie nadopiekuńczej żony, choroba minie sama i nigdy nie wróci.

Na początku września Mrozek wylądował w Sztokholmie z żelaznym postanowieniem, że się z sobą upora i po paru tygodniach wróci do Epifanii zdrowy. Zaciśnął zęby, chodził na spektakle i oficjalne przyjęcia, rozmawiał z ludźmi, udawał, że nic się nie dzieje, ale wewnątrz wciąż potężnie dygotał. Czasem lęk bywał tak natarczywy, że Mrozek nie potrafił się zdobyć na przejście ulicy. Przystawał, chował się do bramy, kulił się w sobie, czekał, aż drzączka ustąpi. Jak umiał, zmagął się z szarpiącym go od środka upiorem, ale kiedy po miesiącu wrócił do Epifanii, wciąż nie był ani zdrowy, ani przekonany, że wreszcie wyzdrowieje.

Znów co rano regularnie wstawał i chodził do wieży, żeby pracować lub, częściej, symulować pracę, bo tygodniami nie umiał przełamać zakłętego kręgu, w którym lęki ustępowały miejsca tylko depresji i strachowi przed lękiem. Właściwie nie miał już siły się z samym sobą zmagać.

– Coś ty mi zrobiła! – wyrzucał Susanie. – Dlaczego nie pozwoliłaś mi umrzeć? Jak mogłaś dopuścić do tego, żebym nie umarł od razu.



Neurony pisania łagodzą aktywność potężnych neuronów lęku

Późną jesienią także Susana zaczęła tracić pewność, że Sławomir kiedykolwiek do końca wyzdrowieje. Blisko rok obserwowała już jego męczarnie i może właśnie teraz także przez jej głowę przemknęło dramatyczne pytanie, czy miała prawo go na to cierpienie skazywać. Ale z drugiej strony bez niego nie potrafiła sobie wyobrazić świata. Więc walczyła dalej. Późną jesienią uznała, że ostatnią deską ratunku może być zmuszenie Sławomira do intensywnej pracy.

- Sławomir – zaczęła go przekonywać – napisz nową sztukę. To ci na pewno pomoże.
- Ja już nie napiszę żadnej nowej sztuki.
- Napiszesz!
- Nie mam siły.
- Musisz mieć siłę.
- Nie chcę.
- Musisz chcieć.

Powtarzali tę rozmowę nie raz i nie dwa razy. Aż wreszcie koło Wigilii Mroźek przestał się bronić. Zaczął wysiadywać... Bez entuzjazmu, bez przekonania, przez rozum. Jak zwykle, kiedy przymierzał się do pisania sztuki, zamykał się w gabinecie – tym razem we właśnie wykończonej wieży – i niemal bez ruchu, siedząc na krześle całymi godzinami, dniami, tygodniami szukał w głowie nie tyle tematu, co melodii, barwy, tego kluczowego tonu, na którym później miał cały dramat budować.

Na początku stycznia zaczął wreszcie pisać. Ton, który odnalazł, był w gruncie rzeczy taki, jak jego rok, który minął.



Zaczynał się złoty czas ich meksykańskiej przygody.
Kiedy jesienią wrócili do Epifanii, zastali ją
kwitnącą – dokładnie taką, jaką sobie wymarzyli.

Balansował gdzieś między dramatem ostatecznego a małostkową śmiesznością, między heroicznym cierpieniem a lekkomyślnym szczęściem, między logicznością śmierci a przypadkowością życia.

Po tym, co miał za sobą, drażnił go polski stosunek do śmierci. Złościło go, że Polacy nie mówią o niej inaczej, jak tylko z namaszczeniem, a najlepiej wcale – żeby nie zapeszyć. Polskiemu zabobonnemu omijaniu śmierci przeciwstawiał jej stałą obecność w synkretyczno-chrześcijańsko-prekolumbijskiej kulturze Meksyku, w meksykańskim obyczaju, właściwie w codziennym życiu.

– Bo jak można usuwać śmierć z życia do tego aż stopnia, żeby spotykała ludzi, którzy nic o niej nie wiedzą, którzy z jej obecnością się nie oswoili?

Żeby zacząć łatanie tej dziury, sam zagrał w to inne mówienie o umieraniu. Bawił go związek między własną chorobą a sztuką o śmierci. Wreszcie był jej na tyle blisko, że już coś na ten temat potrafił swoim – mrozkowskim – językiem powiedzieć.

Poddany własnej żelaznej dyscyplinie opowiadał codziennie od dziewiętej trzydzieści do pierwszej po południu. Potem zjadał obiad i po krótkiej sjeście zazwyczaj zamykał się w wieży jeszcze na kilka godzin. Bywało jednak, że wciąż powracające lęki dopadały go właśnie wtedy, gdy pracował w swojej wymarzonej pracowni, gdzie nikt i nic nie mogło mu przeszkodzić – może poza groźnym włochatym pajakiem, którego należało zabić, albo nieuchwytną, lecz zupełnie niegroźną meksykańską jaszczurką, która czasami wyskoczyła z kosza na papiery. Nieraz długie godziny przesiedział wówczas skulony w swym dziwnym eremie, skazany na kompletną samotność wobec paraliżującej drżączki, bo wszyscy dokoła wiedzieli, że „señor Mrozek pracuje i w żadnym razie nie wolno mu przeszkadzać”.

A jednak Susana znowu miała rację. W miarę postępów pracy lęki przychodziły wyraźnie

coraz rzadziej. Po dwóch miesiącach „Wdowy” były gotowe, a ich autor już praktycznie zdrowy. Nie był może z tej sztuki specjalnie zadowolony – choć przecież się jej nie wstydził – ale potrafił cenić ją za to, że mu przywróciła normalność.

Na początku marca 1992 roku maszynopis „Wdów” powędrował do Diogenes Verlag – szwajcarskiego wydawcy, któremu Mrożek na zawsze sprzedał prawa światowe do całej swojej twórczości – a już latem pokazano je na festiwalu teatrów w Sienie reżyserowane przez samego autora.

Tym razem pojechali do Europy oboje z Susaną. Mrożek brał jeszcze zalecone przez dr. Velarde lekarstwa na obniżenie ciśnienia, łatwo się męczył, miał słaby apetyt, ale psychicznie czuł się zupełnie dobrze. Na tyle dobrze, że po dwóch latach znów potrafili się bawić, cieszyć życiem i towarzystwem młodego włoskiego zespołu. Jesienią wybrali się razem do Paryża, a potem do Krakowa. Znów mieli plany, projekty, marzenia. W redakcji „Tygodnika Powszechnego” Mrożek opowiadał, że w Meksyku po raz pierwszy w życiu polubił swoją pracę, że nareszcie ma przestrzeń, której mu potrzeba, nareszcie będzie mógł poukładać papiery i książki.

Zaczynał się złoty czas ich meksykańskiej przygody. Kiedy jesienią wrócili do Epifanii, zastali ją kwitnącą – dokładnie taką, jak sobie wymarzyli. Za szczelnymi oknami niegroźne były już deszcze ani wichury, w ogrzewanych i wyłożonych dywanami wnętrzach nie przeszkadzało zimno, dla obstawionych piorunochronami domów niestraszne wydawały się choćby najpotężniejsze gromy walące w posiadłość na wzgórzu. W ogrodzie owocowały wypielegnowane drzewka, starannie strzyżona trawa najwyższych tarasów, której nasiona Mrożkowie przywieźli z Europy, uzyskała konsystencję prawdziwej angielskiej murawy. Służba pod wodzą Paco pracowała nienagannie – przynajmniej jak na meksykańskie warunki. Tylko stajnia niestety świeciła pustkami, bo po operacji Mrożkowi zabroniono fizycznych wysiłków, a Susana nigdy nie przepadała za końmi, więc trzeba je było sprzedać.

Wszystko działało już tak wyśmienicie, że Susana mogła pomyśleć o powrocie do własnych teatralnych pasji. Wkrótce po przyjeździe z Europy skrzyknęła przyjaciół i pod firmą „Teatro de Epifania” zaczęła przygotowywać wystawienie „Wdów” w powiatowym teatrze w Tlaxcala.

Po Nowym Roku przedstawienie było gotowe. Zamówili wtedy specjalny autobus i zawieźli nim na premierę wszystkich pracowników – Paco z Flor i czterema córkami, kucharkę Marię i jej pomocnicę, starego ogrodnika i podręcznych Paco – oraz kilkanaście osób z okolicy. Mieli teraz przed sobą naprawdę wielkie chwile. Wystarczyło popatrzeć na miny Indian, którzy pierwszy raz w życiu zobaczyli złozenia i stiuki tlaxcalskiego teatru, żeby zrozumieć, że ta premiera nie mogła odbyć się bez nich. I trzeba było popatrzeć na ich twarze, kiedy po przedstawieniu zapalono światło, żeby uwierzyć, że jeśli nie dla nielicznych tlaxcalczyków, to w każdym razie dla owych kilkudziesięciu gości Epifanii warto było dać to przedstawienie.

– Madame – powiedziała stara Indianka Maria zdziwionej milczeniem publiczności Susanie – miałam ochotę się śmiać, lecz moje serce biło nazbyt mocno.

Ale liczyło się i to, że Paco, który w imieniu señora Mrożka zarządzał Epifanią, Maria, która dla Mrożka nauczyła się robić jego ulubione danie: czyli „borshch i perogi”, don Adolfo, bardzo stary ogrodnik, wreszcie kuchenne i pokojowe pomoce, różni wynajmowani przez Paco robotnicy, a także ludzie z Tlhuapan dopiero teraz zrozumieli, z kim mają do czynienia. Bo przecież dopiero teraz dowiedzieli się, co produkuje ten dziwny, a dla nich może raczej dziwaczny señor Sławomir Mrożek, który poślubił Meksykankę, kupił to stare rancho i zbudował na nim swoją śmieszna wieżę, w której przesiaduje całymi niemal dniami mówiąc, że tam pracuje, choć nic właściwie nie robi, czy raczej – sądząc po odnajdowanych

przez pokojówkę śladach, o których zapewne niejednemu wspomniała – pali fajki, je krakersy, z rzadka coś zanotuje i od czasu do czasu postuka w komputer.

Chociaż z drugiej strony trudno właściwie powiedzieć, co kto z nich naprawdę rozumiał. Zapewne człowiek wychowany w świecie naszej kultury nie jest w stanie sobie wyobrazić, jaki sens mogą mieć Mrożkowskie etiudy czy skecze na temat życia i śmierci dla kogoś przekonanego o duchowości warzyw i pozbawionego europejskiego wyobrażenia czasu, więc także przemijalności.

A przecież Maria z głębokim przekonaniem przemawiała do zwykłej marchewki, zanim ją wyrwała w ogrodzie, i bardzo prosiła, by się nie gniewała, kiedy wrzucała ją pokrojoną do garnka. I przecież nigdy się nie nauczyła czytać czasu z zegarka, przez co jej wyśmienite pierogi robione według przepisu, który Susana otrzymała w Krakowie od pani Lemowej, rzadko kiedy bywały gotowe akurat o tej porze, na którą przewidziano obiad.

Zapewne trudno nam także wyobrazić sobie, jak odpowiedzialność wobec życia i śmierci rozumie mężczyzna, który w sensie społecznym do końca pozostał dzieckiem.

A przecież don Adolfo, ów stary ogrodnik, który swój fach uprawiał od małego i o ogrodzie wiedział po prostu wszystko, nim obciął róże, zawsze musiał zapytać Susanę, w którym to zrobić miejscu.



Mówi, że tam pracuje, choć nic właściwie nie robi, czy raczej – sądząc po odnajdywanych przez pokojówkę śladach, o których zapewne niejednemu wspomniała – pali fajki, je krakersy, z rzadka coś zanotuje i od czasu do czasu postuka w komputer

Miał bowiem głęboko wpojone poczucie hierarchii, a nie potrafił zrozumieć podziału kompetencji i odpowiedzialności, podobnie jak nie potrafił się nauczyć odkręcania śruby. W świecie don Adolfo – tak jak w świecie dziecka – byli mali, którzy słuchają, i duzi, co rozkazują. On miał tylko słuchać. Nie dopuszczał więc myśli, że mógłby podjąć jakkolwiek

decyzję i przyjąć najmniejszą choćby odpowiedzialność – nawet dotyczącą tego, gdzie przyciąć krzak róży.

Maria i don Adolfo niczym się specjalnie nie różnili od zdecydowanej większości wielkiej rzeszy pracowników, którzy zdążyli się przez Epifanię przewinać. Zapewne niemal wszyscy czuli się osieroceni przez tajemniczego, wiecznie nieosiągalnego, zamkniętego w wieży, podróżującego albo chorego señor Mrożka. Tym natarczywiej domagali się więc matkowania Susany.

Od siódmej rano, kiedy pojawiała się w Casa Grande, do dziewiątej wieczorem, kiedy zamykała się w swoim buduarze, żeby przed snem przez parę godzin poczytać jeszcze książkę, niemal bez przerwy prześladowały ją więc tysiące pytań, których europejscy służący nigdy by nie zadali.

- Señora – pytała kucharka – ile ugotować klusek?
- Tyle, co zawsze.
- Gracias, señora.
- Señora – zgłaszał złota rączka – żarówka się przepaliła.
- To wkręć nową.
- Dobrze, señora.
- Señora – informował masztalerz – konie nie mają wody.
- To im nalej
- Tak jest, señora.
- Señora – pytał ogrodnik – czy podlać trawę?
- Tak, podlej.
- Już podlewam, señora.

Susana złościła się, narzekała, zachęcała do samodzielności, bo czasem zwyczajnie ugiwała się pod ciężarem pracy, ale przecież w głębi duszy rozumiała tych ludzi. Od dziecka знаła takich, jak oni, choć sama wychowała się w zupełnie innej tradycji. Rodzina jej ojca, w której krew hiszpańska mieszała się z krwią Indian Zaphoteaca, przez pięć pokoleń samotnie mieszkała na malutkiej wysepce u wybrzeży Meksyku. Z górą 100 lat mężczyźni z tej rodziny byli latarnikami przez długie miesiące skazanymi tylko na własne siły. Nie mogli liczyć na pomoc służących, których nigdy nie mieli, ani przełożonych, urzędujących przecież zbyt daleko.

Do ich samotnej latarni zaopatrzenie docierało najwyżej parę razy w roku. Życie całej rodziny było więc uzależnione nie tyle od niewielkich dochodów z dziedziczonej posady, ile od tego, jak dużo jadalnych roślin zdołano uprawić, jakie ryby złowiono i jak wiele zwierząt wykarmiono na skalistej wysepce.

Susana uważa, że to krew latarników españo-zaphoteaca – przez pokolenia nauczonych kompletnej samodzielności i odpowiedzialności za siebie – połączona z krwią przodków jej matki – przywiezionych z Hiszpanii ochrzczonych żydowskich rzemieślników – stanowiła o jej odmienności i stała się źródłem jej „kłopotu z Meksykiem”. Dlatego stąd uciekała. I także dlatego teraz nie chciała dać się wpisać w żadną tradycyjną meksykańską rolę. Nie chciała być ani „bogaczką” trwoniącą majątek męża, ani „okrutną señorą” całymi dniami pohukującą na służbę i okładającą służące po twarzy. Postanowiła tu, w Epifanii, stworzyć swój własny świat, a nie tylko kolejną lepiej czy gorzej prosperującą posiadłość. Chciała nakłonić innych, by razem z nią to rancho budowali, by się od niej uczyli innego stosunku do życia, do pracy, do ludzi. Znając Meksyk wiedziała jednak dobrze, że aby to osiągnąć, musi ostrożnie

balansować między swoją dość rewolucyjną wizją, a lokalnym wyobrażeniem naturalnego porządku, bo inaczej zostanie przez miejscowych po prostu wyśmiana jako egzaltowana, niepraktyczna dziwaczka, której małżeństwo z bogatym Europejczykiem przewróciło w głowie i której fanaberiami nie warto zwracać sobie głowy.



Nie chciała być ani „bogaczką”, trwoniącą majątek męża, ani „okrutną señorą”, całymi dniami pohukującą na służbę i okładającą służące po twarzy

Także Mrozek po przyjeździe do Meksyku niechętnie dał się przekonać, że przynajmniej chwilowo musi się podporządkować elementarnym zasadom miejscowego rytualnego kodu, wedle którego do niego należało mówić „senor”, a on powinien był zwracać się do pracowników wyłącznie po imieniu. Dla świętego spokoju zgodził się jednak swój europejski egalitaryzm zachować dla siebie, zrazu bez przekonania przyjmując argument, że gdyby do dziewczyny w kuchni zwrócił się per „señora”, zostałby uznany za nieokrzesanego lub wręcz nieobyczajnego dziwaka, a nie za nowoczesnego człowieka Zachodu dającego wyraz najgłębiej chrześcijańskiemu przekonaniu o równej godności osób.

Urodzony samotnik, wyposażony w naturę wielbłąda, który sam jeden może przejść pustynię, chętnie natomiast przyjął do wiadomości, że nic takiego jak wymyślone przez Europejczyków „sąsiedztwo” w sensie towarzyskim czy społecznym w Meksyku nie istnieje. Chętnie zaakceptował fakt, że posiadanie wspólnej granicy, ani tym bardziej mieszkanie w jednej okolicy, nie rodzi tu żadnych zobowiązań towarzyskich, nie tworzy więzi, nie pociąga za sobą obowiązku świadczenia sobie pomocy. Z ulgą przyjął do wiadomości, że utrzymywanie przez białego stosunków towarzyskich z prostą miejscową ludnością byłoby uważane za zwyczajnie nieobyczajne, wizyta zaś w domu któregoś z miejscowych zostałaby

w wiosce uznana za skandal.

Wiosną 1993 roku, mając za sobą przeszło trzy lata spędzone w Meksyku, miał już dość okazji, żeby się przekonać, że amerykańska telewizja, godzinami oglądana nawet w najlichszych slamsach meksykańskich przedmieść, mogła w krótkim czasie sprawić, że zamiast sombrera młody Indianin zakłada baseballówkę, a młode Indianki pierwsze zarobione pieniądze przeznaczają na blond-złotą farbę do włosów, ale nie mogła równie szybko zmienić obyczajów. Farbowane i na dodatek kręcone włosy dziewczyn z puebla – starających się odwzorować nordyckie wzorce estetyczne amerykańskich gwiazd – tylko potwierdzały aktualność kastowej meksykańskiej hierarchii, w której od zawsze najwyżej stoją biali, a najniżej Indianie. Baseballówka natomiast nie gorzej niż sombrero pasuje do wciąż nienaruszonego stereotypu wiecznego macho-zdobywcy, który nie ciuła, nie sieje i nie orze, lecz musi się nieustannie potwierdzać błyskotliwie zdobywając nie tylko kobiety i złoto, lecz wszystko to, co Europejczyk osiąga przez lata banalnie mozolnego trudu.

Po trzech latach przeżytych w Epifanii doskonale zdawał już sobie sprawę, że nie tylko Maria i don Adolfo, ale także okoliczni młodzieńcy chodzący w adidasach, jeansach i baseballówkach należą do zupełnie innego niż on świata. Przyjmował to do wiadomości nie epatując się jednak egzotyką meksykańskiej obyczajowości tak samo, jak się nie epatował egzotyką miejscowej fauny ani rozłożystością otaczających rancho wielkich dzikich agaw.

Meksyk interesował go tylko o tyle, o ile tutejsze otoczenie mogło mieć wpływ na jego własne życie. Chciał żyć i żył zamknięty w swojej Epifanii, której nie opuszczał całymi miesiącami. Do szczęścia wystarczała mu pokonywana parę razy dziennie paręsetmetrowa przestrzeń pomiędzy La Torre a Casa Grande i otwarty horyzont z widokiem na bezkresne góry. Egzystował – dosłownie i w przenośni – na skraju indiańskiej wioski, albo może raczej tuż za jej granicą.

Zapewne był przez otoczenie dość bacznie obserwowany. Jego posiadłość, nad którą królowała ekscentryczna wieża, stała się częścią lokalnego krajobrazu, a w optyce okolicznych Indian chyba i on już w jakimś stopniu do owego krajobrazu należał, ale sam nie miał najmniejszego zamiaru wtapiać się w otaczający go meksykański świat.

A jednak im dłużej w tym otoczeniu mieszkał, tym bardziej doceniał znaczenie pieczołowicie przestrzeganego rytuału. Uczył się go tym łatwiej, że miał przecież za sobą twardą szkołę przedwojennego małopolskiego chłopca. Od dziecka uczono go traktowania ludzi po uważaniu, oraz przestrzegania hierarchii i sztywnego podziału ról. Teraz skłonny był uznać, że surowe, dziewiętnastowieczne obyczaje pasują do w gruncie rzeczy dziewiętnastowiecznego świata tej okolicy przypominającego równie dziewiętnastowieczny świat jego galicyjskiego dzieciństwa. Rozumiał, że życie w pueblach takich, jak Tlahuapan – podobnie jak życie w Borzęcinie i większości wiosek przedwojennej Galicji – jest po prostu tak ciężkie i tak statyczne, że jeśli lokalna społeczność ma jakoś funkcjonować, na rozluźnienie kodu czy zmianę obyczaju w żadnym razie pozwolić sobie nie może.



Chciał żyć i żył zamknięty w swojej Epifanii, której nie opuszczał całymi miesiącami. Do szczęścia wystarczyła mu pokonywana parę razy dziennie paręsetmetrowa przestrzeń pomiędzy La Torre a Casa Grande i otwarty horyzont z widokiem na bezkresne góry.

Rozumiał więc także coraz lepiej, że naruszenie hierarchii, jakkolwiek fraternizacja czy próba zmniejszenia dystansu między „señorą” i zwłaszcza nim – białym „señorem” – a pracownikami rancho wytworzyłaby w miejscowych wrażenie, że coś się zaważyło w kosmosie. A to wcześniej czy później musiałyby oznaczać odrzucenie lub co najmniej ośmieszenie dziwaków. Jeśli więc chcieli tu żyć, musieli akceptować miejscowe reguły.

Niby to wszystko wiedzieli. Niby rozumieli. A jednak zanim się obejrzel, kod został złamany, zasady naruszone, dystans diabli wzięli. I wkrótce nikt już nie mógł zapanować nad tym, co się w Epifanii działo.

Nieszczęście zaczęło się od konfitur, które były za dobre. Od wspaniałych, domowych konfitur, które Susana smażyła dla męża. Bo przecież szkoda było zmarnować tę masę jabłek, mango, brzoskwiń, gruszek i śliwek, które rodziły drzewka porastające tarasy Epifanii. Kto spośród znajomych Susany odwiedził Epifanię, ten się owymi konfiturami zachwycił. Sytuację pogorszyło dobre serce Susany. Bo zachwyceni konfiturami goście opuszczali Epifanię ze słóczkami w kieszeniach. Wkrótce więc konfiturami zachwycali się także goście gości. Niebawem przyjaciele zaczęli się przymawiać o drugi słóczek dla swoich zachwyconych przyjaciół. W ten sposób na konfiturowym horyzoncie pojawili się nie mniej zachwyceni goście gości gości, czyli przyjaciele przyjaciół przyjaciół. I wszyscy oni, gdy raz spróbowali, gwałtownie požądali konfitur z Epifanii.

Ale dlaczego Susana miałaby obdarowywać swoimi konfiturami ludzi, których w życiu nie widziała na oczy? A z drugiej strony: owoców rodziło się w Epifanii tyle, że Mroźkowie mogli zjeść tylko niewielką część robionych z nich konfitur. Czy miały się marnować? Wreszcie jakaś przyjaciółka zebrała się na odwagę i powiedziała Susanie to, co wielu zapewne myślało: że jeden czy dwa słóki to dla niej za mało i że chciałaby po prostu kupić tyle konfitur, żeby starczyło ich na całą zimę dla niej i jej przyjaciół. Susana była zakłopotana, ale wreszcie uległa. A skoro uległa jednej, nie mogła się oprzeć i innym przyjaciółkom, przyjaciółkom swoich przyjaciółek, a w końcu także przyjaciółkom przyjaciółek swoich przyjaciółek. Zanim się obejrzała, konfitury zaczęły przynosić całkiem

interesujący dochód, a do bramy Epifanii dzwonili poszukujący ich ludzie, o których istnieniu Susana nawet nie miała pojęcia.

W 1993 roku konfitury z Epifanii pojawiły się w ofercie spółdzielni gospodyń, które swoim znajomym i znajomym znajomych sprzedawały własne domowe przetwory. Sprzedanych słoików nie liczone już teraz na sztuki, ale na kartony, a popyt rósł z miesiąca na miesiąc. Okazało się, że Susana przez przypadek trafiła w głęboką rynkową niszę.

Europejskie konfitury sprzedawane w eleganckich sklepach były potwornie drogie, a w Meksyku nic takiego nie produkowano.

Wtedy właśnie – zdaniem Susany – zaczęło się nieszczęście. Bo przyszło jej do głowy, że skoro konfitury sprzedają się tak wspaniale, to Rancho La Epifania nie musi się utrzymywać z honorariów Mrożka, że może zdoła samo na siebie zarobić. A, co jeszcze gorsze, podzieliła się tą myślą z Paco i Flor Guzmanami.

Jednak szukając źródeł katastrofy należy pewnie sięgnąć nieco dalej w przeszłość. Do tych dramatycznych miesięcy, które Mrozek spędził w British-American Hospital i kilku następnych, które przechorował w La Torre. Dla Susany – najpierw przerażonej, a potem przynębionej chorobą męża – Flor i Paco stali się wówczas kimś więcej niż rządcą i kucharką. W samotnej Epifanii razem z nią przeżywali dramat Sławomira. Siłą rzeczy między nią a rządcami niepostrzeżenie wytworzyła się więź może nie przyjacielska, ale jakby rodzinna. Jakby to byli nie obcy, lecz jacyś zubożali krewni – w dodatku bardzo pomocni, kiedy świat się zawalił.

Więc razem przeżyli katastrofę choroby i w jakimś sensie razem się później z niej wydobywali. Razem się martwili i razem się cieszyli. Aż wreszcie przestało być takie jasne, że oni pracują u niej. Raczej już pracowali razem. Więc było też oczywiste, że razem – Susana, Flor i Paco – spróbują teraz zrobić z Epifanii samowystarczalne rancho. Dlatego zaproponowała, by przy produkcji konfitur – kiedy była już mowa o produkcji, a nie o smażeniu na potrzeby domu i grupki przyjaciół – razem pracowali i by w przyszłości dzielili się zyskami.

To – zdaniem Susany – był koniec Epifanii. Porządek został zburzony, bomba zegarowa ruszyła i wybuch stał się teraz już tylko kwestią czasu.

Chwilowo nic nie zapowiadało burzy.

Przeciwnie. Wyglądało na to, że po latach chudych przysły lata rzeczywiście tłuste. Sławomir czuł się wyśmienicie. Wydawnictwo Noir sur Blanc zaczęło druk jego „Dzieł zebranych”. Napisana wiosną 1993 r. „Miłość na Krymie”, w roku 1994 szła już w Krakowie, Warszawie, Sztokholmie, Kielcach i Paryżu. Niebawem miała się stać wydarzeniem sezonu teatralnego w Moskwie. Zapowiadały się premiery w Berlinie i w holenderskim Haarlemie.

Kwitła też Epifania. Po czterech latach wreszcie zainstalowano na rancho telefon. Dzięki przeciągnięciu własnej parokilometrowej linii działał nawet faks. Cały Meksyk przeżywał jeszcze chwile gospodarczego cudu, a wraz z Meksykiem swój gospodarczy cud przeżywała Susana. Jej pyszne konfitury szły jak ciepłe bułeczki.

Wiosną 1994 roku Susana uznała, że czas już skończyć z chałupnictwem. Od jakiejś zbankrutowanej fabryczki kupiła kilka maszyn do produkcji konfitur i umieściła je w nieco przerobionej starej La Cabae – owym stojącym poniżej Casa Grande rzadko używanym gościnnym domku, w którym przeszło trzy lata wcześniej Mroźkowie spędzili swoje pierwsze noce na rancho. Na rozwidleniu traktów, tam gdzie prowadząca od szosy wyboista droga gwałtownie skręcała ku porośniętemu przez agawy wzgórz, stanęła okazała tablica: „Mermeladas y conservas LA EPIFANIA fabricación artesanal”.

Na pozór wszystko szło tu wyśmienicie. Susana pochłonięta była nieoczekiwanie kwitającymi interesami. Mroźek z podziwem i nie skrywaną dumą patrzył na jej sukcesy. Bomba cykała, lecz Mroźkowie wciąż jeszcze jakoś jej nie potrafili usłyszeć. Może zresztą była w tym jakaś meksykańska specyfika? Może po prostu w Meksyku nie tylko żywioty i ludzie mają ów słynny temperament? Może więc i klęska nie może tu ot tak sobie nadejść, lecz musi właśnie spaść, jak grom z jasnego nieba?

Bo przecież i Susana, i Mroźek musieli widzieć, że Guzmanowie nie są już tacy, jak kiedyś. Nie tylko dlatego, że w Casa Della Guardia mieli eleganckie, w europejskim stylu urządzone służbowe mieszkanie z ogrzewaniem, osobnymi łózkami dla każdego dziecka i błyszczącą łazienką. Nie dlatego, że zarabiali najwięcej w całej okolicy. I nie dlatego, że za pieniądze Mroźków Flor skończyła ekskluzywny kurs europejskiej kuchni, a Paco nauczył się prowadzić samochód i zdobył prawo jazdy. Nawet nie dlatego, że starsze córki Guzmanów – Lidia, Jesus i Yanelly – chodziły już teraz do drogiej prywatnej szkoły. Przede wszystkim dlatego, że poczuli się lepsi. Lepszy niż kiedyś i lepsi od innych. O Indianach z wioski zaczęli mówić „oni”. Na pracowników patrzyli teraz z góry, pohukiwali na ludzi. Ale, i tego nie dość.

Od kiedy zostali in spe współnikami Susany, poczuli się nagle członkami wyższej klasy. Nie byli już tylko wieśniakami wynajętymi do pracy na rancho. Byli Państwem Guzman, którzy robią interesy z señorą Susaną Mroźek. Rachując przyszłe dochody, które mieli uzyskać za dwa albo trzy lata, gdy inwestycja się zwróci, już teraz poczuli się bogaci. Nie chcieli na to bogactwo oczekiwać latami. Projekty, business plany, odległe rachuby wzięli za rzeczywistość. Już zatem wedle projektów – nie wedle realnych dochodów – mierzyli swoje potrzeby i planowali wydatki.

Mroźkowie musieli widzieć symptomy tej zmiany, ale jakimś cudem ich nie dostrzegali. Może dlatego, że pozwolili sobie zanadto się do Guzmanów przywiązać, a może za bardzo się przywiązali do myśli, że to dzięki Paco całe rancho się kręci, a dzięki Flor Susana ma na miejscu prawdziwą podporę.

Ale najgorszego i tak chwilowo zobaczyć nie mogli, w każdym razie tak długo, jak długo

Guzmanom ufali. Bo trzeba by było stracić zaufanie, by sprawdzać, czy robotnicy rzeczywiście dostawali jedzenie, na które Paco codziennie brał od Susany pieniądze. Indianie z wioski zbyt sobie przecież cenili możliwość dorobienia na rancho, by skarżyć się na rządcę. I trzeba by było wzbudzić w sobie nieufność, żeby kontrolować, czy rzeczywiście z pick-upa wyładowano zakupy, na które Flor przedstawiała rachunki. Że nie wszystko tu bywało w porządku, Mroźkowie mieli się dowiadywać od innych pracowników dopiero, kiedy Guzmanów już w Epifanii nie było.



Wiosną 1994 roku Susana uznała, że czas już skończyć z chałupnictwem. Od jakiejś zbankrotowanej fabryczki kupiła kilka maszyn do produkcji konfitur i umieściła je w nieco przerobionej starej La Cabañe

Tymczasem bomba cykała nie tylko w Epifanii. 1 grudnia 1994 roku Carlos Salinas de Gortari – wielki charyzmatyczny prezydent Meksyku – przekazał urząd bezbarwnemu Ernesto Zedillo – swemu koledze z rządzącej niemal od początku wieku Partii Rewolucyjno-Instytucjonalnej. Niebawem spektakularny meksykański cud gospodarczy zamienił się w jeszcze bardziej spektakularną katastrofę. Wielki prezydent okazał się wielkim hochsztaplerem, który dużą część meksykańskiej gospodarki sprywatyzował z korzyścią dla siebie i swoich przyjaciół. Na dodatek, wkrótce po przekazaniu urzędu okazało się, że najbliższe otoczenie byłego prezydenta zamieszane jest w handel narkotykami i głośne morderstwa o polityczno-mafijnym podłożu, a meksykański peso, którego kurs sztucznie utrzymywano na absurdalnie wysokim poziomie, niemal z dnia na dzień stracił 60 procent swojej poprzedniej wartości.

Meksyk się zawalił. Pięćdziesiąt miliardów dolarów międzynarodowej pomocy mogło poratować meksykańską walutę, ale nie mogło uratować całej gospodarki, ani tym bardziej meksykańskiej dumy. Kiedy w marcu 1995 roku, trzy miesiące po ustąpieniu z urzędu, Carlos

Salinas uciekł do Ameryki, w Meksyku coś pękło. Ruszyła fala spektakularnych bankructw. Bezrobocie rosło dosłownie z tygodnia na tydzień. Ci, którzy zachowali pracę, zarabiali często o połowę mniej niż przed wyborami.

Z dnia na dzień runęło wszystko: stabilna waluta, rozwijająca się gospodarka, fortuny bogaczy i nadzieje biedaków, rachuby inwestorów i ambicje Południa, które już-już miało dogonić od zawsze bogatszą Północ. To nie był ten sam Meksyk co parę miesięcy wcześniej. I w tym innym Meksyku żyli już zupełnie inni Meksykanie.

Wiosną i latem 1995 roku Mrożkowie z przerażeniem obserwowali gwałtowny powrót meksykańskich demonów uspiionych chyba od czasów rewolucji Zapaty. Pod barokowymi formułkami wyszukanej grzeczności, które wypełniają tu rozmowy nawet prostych ludzi, coraz wyraźniej widzieli błysk starego, groźnego szaleństwa, a może również strachu – nawet przed samym sobą. Gdzieś zginęła meksykańska otwartość. Miejsce zbiorowego pogodnego i optymistycznego spokoju zajmowały teraz kolektywne lęki. Jakby dur padł na ludzi. Z miesiąca na miesiąc ulice, po których przez lata można było spacerować nocą, stawały się niebezpieczne nawet w samo południe. Na drogę do Vera Cruz, którą od epoki Dzikiego Zachodu, a przynajmniej od czasów Zapaty i Pancho Villi, podróżowano bez najmniejszej obawy, wrócili rozbójnicy z meksykańską szarmancją rabujący podróżnych. Zwyczajowa korupcja, bez której Meksyk zawsze trudno było sobie wyobrazić, stała się teraz podstawowym źródłem dochodu urzędniczej biedoty. Od dawna bez łapówki trudno tu było cokolwiek załatwić. Ale teraz trzeba już było płacić także, kiedy się niczego załatwiać nie chciało. Żeby sobie dorobić do zżartej przez inflację pensji, policjanci z drogówki zaczęli pobierać od kierowców myto, monterzy telefoniczni żądali łapówek za to, że nie psują sprawnych telefonów, listonosz domagał się od adresata opłaty za to, że nie gubi adresowanych doń listów.

Meksyk stawał na głowie. Kiedy jesienią 1995 roku Sławomir Mrozek wyjechał do Krakowa, Epifania była już tylko samotną szczęśliwą wysepką w morzu meksykańskiego narodowego nieszczęścia. Na rancho bowiem wciąż jeszcze wszystko szło wyśmienicie, a nawet coraz lepiej. Jakby gwałtownie przebudzone meksykańskie diabły chwilowo nie miały do Epifanii wstępu. Jakby Kudłaty, ów demon, który po latach zmagania wreszcie tu Mrożka przyznał, chronił go teraz przed swymi meksykańskimi braćmi.

A jeśli cokolwiek mogło niepokoić kogoś w Epifanii, to może najwyżej dziwna popołudniowa nerwowość służących, które ni z tego, ni z owego zaczęły się bać jakiegoś wcześniej nie istniejącego tajemniczego potwora, który miał na nie czyhać przy drodze do wioski. Ale czy lekko drżące ręce obawiających się powrotu do domu kuchennych lub pokojowych pomocy i najwyżej parę stłuczonych z tego powodu talerzy można w ogóle liczyć w rachunku kosztów przebudzenia Demonów? Czy na trzęsące się lub wilgotniejące dłonie oraz stłuczoną zastawę jest miejsce w bilansie krucjaty przeciwko Demonom przybierającym postać tajemniczych potworów – wampirów, średniowiecznych diabłów, ogromnych nietoperzy, małych jaguarków – na które całe wioski miały wkrótce polować z łopatami, maczetami, widłami, o których pojawieniu się miały donosić lokalne gazety i które wiejscy proboszczowie mieli odpędzać urządzając wielogodzinne procesje? Bo jeśli nie warto, to można powiedzieć, że aż do fatalnej soboty 28 października 1995 roku bilans Epifanii był w zasadzie czysty.

To nie była tylko, ot taka sobie, sobota. Bo właśnie w tę sobotę zaczęła się wielka, doroczna Feria de Tlaxcala. Poprzedzający Zaduszki, trwający cały tydzień historyczny jarmark, na którym rancho „La Epifania” po raz pierwszy miało swoje stoisko z własnymi konfiturami.

Susana popłaciła wszystkie konieczne łapówki i wspomagana przez dwie pomocnice oraz

ochroniarza z samego rana otworzyła kramik. Oprócz własnych konfitur miała na straganie jeszcze karmę i odżywki dla psów dostarczone przez dr. Roche, wybitnego weterynarza i kynologa z Mexico. Pogoda była piękna. Nie padał deszcz, słońce świeciło łagodnie. Na placu targowym wkrótce zrobiło się tłoczno. A im bliżej nocy, tym bardziej powszedni jarmark zamieniał się w wielką, frenetyczną, meksykańską fiestę z szalonymi tańcami na ubitej ziemi, ze sztucznymi ogniami przedzierającymi się przez tumany kurzu, z morzem alkoholu wlewano do wyschniętych gardeł, z eterycznym kwaśno-słodkim zapachem przetrawionej tequili, smażonych na kamieniach tacos oraz rozgrzanych ciał Indian i Kreoli.

Gdy zapadł zmrok i pokazały się gwiazdy, szaleństwo fiesty sięgnęło zenitu. Wszyscy mieli już dosyć mocno w czubie. Każdy był z każdym za pan brat. Muzyka była głośniejsza, tańce szybsze, powietrze coraz cięższe. Fiesta narastała – jak zawsze w Tlaxcali. Jakby Meksyk nie przeżył miesiący potwornego kryzysu, jakby Salinas nigdy nie miał powodu uciekać i jakby meksykańskie demony wciąż spokojnie spały.

Aż wreszcie, około 10 wieczorem, coś zaczęło wirować niemal naprzeciw kramiku Susany, wokół straganu, na którym młode małżeństwo od rana sprzedawało modne mieszane drinki. Ktoś adorował efektowną barmankę. Natarczywie i głośno, choć z meksykańską, wyszukaną atencją, podziwiał jej urodę i wyznawał miłość. Ktoś słysząc wyznania zatrzymał się przy maleńkim barze. Ktoś bliżej podszedł, żeby lepiej słyszeć. Trwało to może kilka, a może kilkanaście minut, zanim do Susany dotarł spokojny głos już nieco zirytowanego męża adorowanej barmanki. Parę sekund później usłyszała strzały. Jeden, drugi, trzeci. Czwarty, piąty, szósty.

Na mgnienie oka zapadła śmiertelna cisza. Jakby świat się skończył. A potem wybuchł rwetes. Nad ciałem zabitego barmana zaczęła się walka.



Epifania była już tylko samotną szczęśliwą wysepką na morzu meksykańskiego narodowego nieszczęścia. Na rancho bowiem wciąż jeszcze wszystko szło wyśmienicie, a nawet coraz lepiej. Jakby gwałtownie przebudzone meksykańskie diabły chwilowo nie miały do Epifanii wstępu

Ci, co byli najbliżej, zaczęli rozbijać i obezwładniać zabójcę. Ci, co stali dalej, rzucili się, żeby go rozszarpać. Ale nagle pojawili się przyjaciele zabójcy. Ktoś już go zasłaniał. Ktoś próbował go bronić. Ktoś chciał mu pomóc w ucieczce. Ktoś inny chciał przeszkodzić. Ktoś miał nóż. Ktoś kastet. Ktoś uciekał z tłumu. Ktoś do niego dołączał.

Lokalni policjanci próbowali rozpedzać i rozdzielać walczących, ale byli kompletnie bezradni, bo drzemający przez lata szalony duch Pancho Villi, największego macho rewolucji z pierwszych lat tego wieku, zdążył już opanować zbyt wielu obecnych. Ludyczny duch fiesty ustąpił już miejsca duchom wojny i demonom zniszczenia. Wkrótce muzyka zamilkła i słyszeć było tylko odgłosy walki wszystkich z wszystkimi.

O północy, gdy było już widać, że zawierucha się prędko nie skończy, Susana postanowiła razem z dziewczętami wracać do Epifanii. W nocy właściwie nie spała. Nie potrafiła zapomnieć widoku wciąż leżącego w kałuży krwi barmana, szalejącego tłumu, własnej bezradności.

Wróciła o świcie. Po nieprzespanej nocy tlaxcałskie pobojuwisko robiło na niej przerażające wrażenie. Na ziemi widać jeszcze było brunatne krwawe ślady, między kramami leżały szczątki połamanych stoisk, tanich ubrań, butów zgubionych przez ludzi, których nad ranem rozpedziły sprowadzone z Pueblo specjalne oddziały policji. A tymczasem dokoła przekupnie otwierali stragany, rozpalali piece do robienia tacos, ustawiali stoiska z tym, co ocalało, i wkrótce wszystko wyglądało tak, jak poprzedniego ranka. Brakowało tylko stoiska z mieszanymi drinkami.

Niedziela minęła spokojnie. Tym razem Susana wcześniej wróciła do domu, lecz zamiast się wyspać czytała do drugiej w nocy, a potem długo leżała w swoim buduarze. Znowu nie potrafiła zasnąć, bo zdała sobie sprawę, jak bardzo w jej kraju potaniało życie. Znowu wyraźnie poczuła, że w gruncie rzeczy jest tu samotna i obca. Na dodatek Sławomir ciągle nie wracał z Polski. Zupełnie sama w rozległym Casa Grande liczyła dni do jego powrotu.

Czekała ranka, kiedy znowu spotka swoją Flor i niezawodnego Paco – jedynych w okolicy ludzi, na których naprawdę zawsze mogła liczyć. Żałowała teraz, że nie pojechali z nią na ferie do Tlaxcala. Z nimi nie czułaby się tam taka samotna. Ale z drugiej strony, ktoś przecież musiał zostać w Epifanii, żeby spakować do słoików każdą świeżych dietetycznych konfitur, słodzonych najdroższym na świecie słodzikiem po 1000 dolarów kilogram.

Rano, jak zwykle, wstała parę minut po szóstej. Przed ósmą postanowiła zajrzeć do La Cabañy, gdzie miała swoją fabryczkę. Przywitał ją kwaśno-mdły zapach pleśniejących przetworów. Każdą była pełna. Słoiki stały puste. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak w sobotę, kiedy wyjeżdżała.

Pomyślała, że coś złego się musiało Guzmanom przydarzyć. Ale kiedy tylko ruszyła ich szukać, natknęła się na Flor spokojnie gotującą w kuchni Casa Grande.

- Flor, co się tutaj stało?
- Nic się nie stało.
- Co z konfiturami?
- Z jakimi konfiturami?
- Dlaczego nie spakowane?
- Nie mieliśmy kiedy.
- To coście wczoraj robili?
- Byliśmy w Tlaxcala.
- Flor, przecież się umawialiśmy, że zostaniecie pakować konfitury!
- Ale, señora, ferie jest raz do roku. Każdy chce się zabawić. Dziś będziemy pakować.
- Nic nie będziemy pakować, bo wszystko się zepsuło. Zmarnowaliście wszystko.
- Dlaczego my zmarnowaliśmy?
- Bo wy je mieliście spakować.
- Przecież ty, señora, też mogłaś pakować.
- Ja sprzedawałam na straganie w Tlaxcali.
- Ja też wolałam pojechać do Tlaxcali.

- Flor, coś cię opętało.
- Nic mnie nie opętało. Jeżeli ty mogłaś pojechać, to my też mogliśmy.
- Gdyby nie to, że mieliście pakować konfitury.
- Ale feria nie czeka.



Doskonale wiedzieli, że ani drobny chłopiec nie umiejący strzelać, ani nawet Gena, Bela, Tartan i Alhasa – cztery biegnące po rancho sznauclery – nie stanowią w Meksyku żadnej realnej ochrony

- A konfitury się psują.
- Żyje się tylko raz. Za 10 lat może nie będę już chciała tańczyć na ferii w Tlaxcala.
- Flor, przecież mieliście coś zrobić. Tak nie można pracować!
- To, bardzo proszę, możesz mnie zwolnić z pracy.
- Flor, zwolnię cię, jak się nie opamiętasz.
- No to ja odchodzę. Już tu nie pracuję. Teraz radź sobie sama.

Cisnęła ścierkę i trzasnęła kuchennymi drzwiami. Susanie ugięły się nogi. Nie wyobrażała sobie tego rancho bez obojga Guzmanów. Ale też nie wyobrażała sobie Epifanii, w której Guzmanowie robią, co im się podoba.

Tydzień później, kiedy Sławomir nareszcie wrócił z podróży, Flor już w Epifanii nie było. Zabrała wszystkie meble i razem z dziewczynkami przeniosła się do wioski. Cała piątka mieszkała teraz w użyczonym przez kuzynów kilkunastometrowym pokoju. Natomiast Paco trwał na swojej posiadzie. Mieszkając w rządówce pozbawionej mebli, śpiąc wprost na podłodze – bo Flor zabrała także jego łóżko – czynił beznadziejne starania, by mimo kobiecych waśni zachować jednocześnie pracę i rodzinę.

Po cichu liczył chyba, że wcześniej czy później wszystko się rozejdzie po kościach, kobiety się pogodzą i znów będzie jak dawniej. Ale Flor nie zamierzała dawać za wygraną. Ani tym bardziej kajać się i przeproszać. Wierzyła, że bez niej i zwłaszcza bez jej męża, Mroźkowie nigdy sobie z ranchem nie poradzą. Postanowiła więc wygrać prywatną wojnę z Susaną. Jej kartą przetargową był Paco. Kazała mu wybierać między Epifanią a sobą. Wierzyła, że kiedy Paco odejdzie z Epifanii, Susana się załamie i poprosi, żeby oboje wrócili.

Ale Paco doskonale rozumiał, że gra idzie o życiową stawkę, że w tej okolicy nigdy nie

znajdzie równie dobrej pracy, że jeśli z Epifanii odejdzie, to znów przyjdzie mu nosić cegły, będzie musiał zabrać córki z dobrej prywatnej szkoły, z całą rodziną wyląduje w jakimś wynajętym pokoju i nigdy się nie dorobi mieszkania z łazienką. Więc starał się lawirować.

– Señora – mówił Susanie z pełnymi łez oczami – Florę opętało. Ja nie wiem, co robić.

– Jest mi bardzo przykro – odpowiadała Susana.

– A mnie jeszcze bardziej – mówił Paco wybuchając szlochem.

Po paru dniach Mrozek zauważył u Paco ataki nerwowego chichotu. Chyba nie potrafił już tej sytuacji psychicznie wytrzymać. Jego lady Mackbet nie miała jednak zamiaru ani na jotę ustąpić. Ciągle chyba liczyła, że Susana się ugnie, że sama się pokaja i że odtąd Flora będzie w Epifanii panią.

Trwało to wszystko tydzień, a może dwa tygodnie.

Wreszcie samego Paco też to „coś” opętało. Zniknął zostawiając szeroko otwartą bramę i oba samochody z kluczykami w stacyjkach. Dwa dni później przysłał przez posłańca wiadomość, że jest obłożnie chory. Kilka dni nie dawał znaku życia. Raz i drugi nie odpowiedział na wysyłane przez służbę wezwania Susany. Wreszcie został zwolniony.

Gdy Casa de la Guardia całkiem opustoszała, w Epifanii zrobiło się niepokojąco pusto. Wprawdzie za dnia kręciło się po rancho troje pracowników – pokojówka, don Adolfo (ów bardzo stary ogrodnik) i szesnastoletni Ricardo, podręczny Susany – ale nocą Mrozkowie zostawali sami. To nie było bezpieczne w kraju, w którym ludzkie życie wciąż gwałtownie taniało, a rozbój stawał się zawodem masy bezrobotnych. Więc jeszcze w listopadzie Susana postanowiła zatrudnić ochroniarza. Wkrótce dr Francesco Rocha, ów znajomy weterynarz i kynolog z Mexico, polecił jej don Jose – największego w okolicy specjalistę od sznurowania sztyletów do nóg walczących kogutów. Któż mógł podejrzewać, że wraz z nim szalony duch Pancho Villi przekroczy bramę ranca.

Don Jose miał 17 rodzeństwa, więc od kiedy się nauczył stać na własnych nogach, pracował jako tragarz na wiejskich jarmarkach. Kilka lat spędził w najcięższym więzieniu za zabicie człowieka podczas jarmarcznej burdy.



Postanowiono, że jadąc do miasta, Susana będzie ze sobą zabierała ochronę, a psy nie będą na dzień zamykane. Sławomir natomiast miał stale nosić za pasem załadowanego colta.

Nie od razu się okazało, że pochodzi z rodziny, w której rewolucyjna legenda największego macho wciąż jest żywa i ciągle twórczo kontynuowana. Dopiero po jakimś czasie z dumą opowiedział, że jego dziadek był ulubionym koniarzem wielkiego Pancho Villi. On sam nie mniej niż Pancho Villę ubóstwiał mieszkającego teraz za granicą byłego ministra, u którego przez lata pracował jako szef ochrony, bo ani na hacjendzie, ani wtedy, gdy razem przemierzali Meksyk kawalkadą pędzących bez opamiętania czarnych samochodów, nigdy im nie zabrakło tego, czego prawdziwemu macho do życia potrzeba najbardziej: panienek, jedzenia, tequili i broni.

Don Jose, wielkie żyłaste chłopisko, choć mocno już w sile wieku, wydawał się ochroniarzem niemal idealnym. Pracował już jako goryl. Umiał dobrze strzelać. W jednej ręce nosił stół z kilkudziesięciokilowym solidnym kamiennym blatem. A nade wszystko bez wątplenia był człowiekiem honoru, który jak powie to powie, jak ma bronić, to broni i – jeśli będzie trzeba – bez wahania da się w obronie Epifanii zabić.

Od jakichś policjantów Sławomir kupił dla niego dziewięćmilimetrowego colta model combat commander i półautomatyczny niemiecki karabin kaliber 22. Na przełomie 1995 i 96 roku don Jose uzbrojony po zęby, z wrodzoną wyniosłością dniem i nocą przemierzał ścieżki najwyższego tarasu, robił inspekcje kuchni, starannie sprawdzał bramę oraz zamykane na zamek drzwi Casa Grande, La Torre, La Cabañy. Strażnik był jak się patrzy i Mroźkowie bez wątplenia poczuli się bezpieczniej, od kiedy zamieszkał w Casa de la Guardia.

Ale don Jose miał też swoje wady. Susana spokojnie, chociaż dość niechętnie przyjęła do wiadomości, że ochroniarz nie będzie robił nic poza stróżowaniem. Ale już się wściekła, kiedy pokojówka i nawet siedemnastoletnia Marcela – sekretarka, którą zatrudniła do

prowadzenia wciąż się rozwijającej konfiturowej firmy – zaczęły się skarżyć na końskie zaloty nudzącego się macho. W dodatku don Jose, duchowy wnuk Pancho Villi, w żadnym razie nie mógł się pogodzić z tym, że władza w Epifanii należy do Susany. Może gdyby Epifanię ktoś rzeczywiście napadł, gdyby trzeba było własną piersią zasłonić Sławomira, albo gdyby Mroźkowie zajechali sąsiadów, gdyby przynajmniej można było postrzelać do drobnych złodziejasków, albo gdyby się pojawiły chętniejsze panienki, sprawy przybrałyby zupełnie inny obrót. Ale nic takiego się w Epifanii nie stało i z upływem tygodni don Jose coraz wyraźniej wariował.

Gdzieś po dwóch miesiącach zaczęło mu się już chyba wydawać, że naprawdę to on jest tutaj ranchero. Rozstawiał personel po kątach. Nie wiadomo dlaczego wydawał polecenia. Wreszcie zaczął zmieniać decyzje Susany.

Dopiero wtedy Susana i Sławomir na poważnie wzięli słowa jego protektora z Mexico:

– To doskonały ochroniarz, ale musicie na niego uważać, bo inaczej bardzo szybko to wy będziecie mu podawali do stołu.

Między don Jose a Mroźkami zaczęła się teraz wojna o władzę w Epifanii. Oni go besztali, a on tym nie zmieszany ciągle robił swoje. Aż wreszcie któregoś ranka w Casa Della Guardia najnieoczekiwanej zamieszkała córka don Jose z kilkoma jego wnukami. Zięć miał chwilowo dojeżdżać z Mexico. Tego już było Susanie za wiele.

Pewnie nie dało się dłużej z don Jose wytrzymać, ale też pozbycie się ochroniarza w czasach tak niepewnych nie było krokiem rozsądnym, o czym Mroźkowie mieli się dopiero niebawem przekonać. Chwilowo posadę menedżera z solidną pensją Paco i jego mieszkaniem w Casa de la Guardia ofiarowali Ricardo – niezwykle bystremu, umiającemu naprawić prawie każdą maszynę, szesnastoletniemu analfabecie, którego Susana od paru miesięcy próbowała nauczyć pisania i liczenia. Z Ricardo nocującym w stróżówce Mroźkowie czuli się pewnie odrobinę raźniej, ale przecież doskonale wiedzieli, że ani drobny chłopiec nie umiający strzelać, ani nawet Gena, Bela, Tartan i Alhasa – cztery biegające po rancho potężne sznauclery – nie stanowią w Meksyku żadnej realnej ochrony.

Tymczasem problem bezpieczeństwa, czy raczej: niebezpieczeństwa, narastał w całym kraju. Wczesną wiosną w każdym numerze „Reformy” – poważnego stołecznego dziennika – ukazywało się już po kilka policyjnych ogłoszeń o nowych porwaniach.



Za pasek – jak zawsze, od kiedy pojawił się tajemniczy samochód – wsunął załadowanego colta model combat commander i jak co dzień ruszył do swojej La Torre

Dla okupu porywano teraz nie tylko bogaczy i członków ich rodzin, ale także ludzi umiarkowanie zamożnych, a nawet całkiem ubogich właścicieli bazarowych straganów i ulicznych tortilli mogących przynosić nie więcej niż kilka dolarów dziennie.

Wkrótce po odejściu don Jose, jedna z przyjaciółek Susany dotarła do Epifanii kompletnie roztrzęsiona. Kiedy jadąc do Mrozków, jeszcze na obwodnicy Mexico, stanęła przed czerwonym światłem, do samochodu błyskawicznie podbiegło kilku uzbrojonych mężczyzn. Jeden przystawił jej pistolet do głowy, a inni zabrali wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość – pieniądze, radio, biżuterię, nawet zapasowe koło. Po minucie pozwolili jej jechać. Parę dni później na ruchliwej ulicy śródmieścia Mexico dokładnie tak samo obrabowano młodszego brata Susany, kiedy jechał na lunch ze swoją narzeczoną. W tym samym czasie paręset metrów od rancho zastrzelono i obrabowano starego Hiszpana wiozącego wypłatę dla robotników niewielkiej fabryczki, którą od wielu lat prowadził opodal.

Z tygodnia na tydzień atmosfera w Epifanii robiła się coraz bardziej nerwowa, ale prawdziwy strach pojawił się dopiero przed samą Wielkanocą. Pewnego wieczora Ricardo zauważył jakiś obcy samochód, który z zapalonym silnikiem i zgaszonymi światłami przez dłuższy czas stał niemal naprzeciwko bramy. Nazajutrz samochód pojawił się znowu. W środku siedziało dwóch mężczyzn. Przez otwarte okno parę godzin obserwowali rancho.

Następnego dnia ten sam zdezelowany samochód pojawił się rano. Kiedy Ricardo przechodził obok bramy, mężczyźni wysiedli, podeszli do niego i zaczęli szczegółowo wypytywać o rancho. Ile osób tu mieszka, jak często właściciele są w domu, czy mają psy, ile, czy bardzo agresywne. Potem odjechali, ale pod wieczór pojawili się znowu. Postali, popatrzyli i znowu odjechali. Wrócili nazajutrz wieczorem. Znowu zaparkowali naprzeciwko bramy, zgasili światła, otworzyli okno i przez parę godzin stali tak bez ruchu.

Wszyscy na rancho zachodzili w głowę, co to może oznaczać. Różne wytłumaczenia zdawały się możliwe, a każde było chyba równie prawdopodobne. Jedno uznano wszakże za absolutnie pewne: nad Epifanią zawisło jakieś niebezpieczeństwo.

Drugiego, a może trzeciego dnia po pojawieniu się auta Mroźkowie uznali, że sprawa jest poważna. Najbardziej prawdopodobny wydawał się wariant planowanego porwania. Postanowiono, że jadąc do miasta Susana będzie ze sobą zabierała ochronę, a psy nie będą na dzień zamykane. Sławomir natomiast miał stale nosić za pasem załadowanego colta.

W Epifanii zapanowała atmosfera oblężonej twierdzy. Za dnia starannie przestrzegano środków bezpieczeństwa, a nocami na zmianę pełniono wyczerpujące warty. Jednej nocy Susana, a drugiej Sławomir z zarepetowaną bronią czuwali przy oknie na stryszku Casa Grande. Mogli stamtąd widzieć biegnącą obok drogę, a w razie potrzeby prowadzić skuteczny ostrzał. Także Ricarda, nocującego teraz w Casa de la Guardia, wyposażono w ową półautomatyczną strzelbę, z którą jeszcze niedawno przechadzał się don Jose. W razie najścia, na podwórzu pomiędzy stróżówką a samym Casa Grande intruzi (zapewne już wcześniej zaatakowani przez cztery sznauclery) mieli się znaleźć w morderczym krzyżowym ogniu. Opracowany przez Sławomira plan obrony rancho miał jednak dwie poważne słabości. Po pierwsze obrońcy posiadali tylko 9 pocisków do colta i 10 do karabinu, a po drugie nie mieli dość sił, by w nieskończoność pełnić całonocne warty. Oboje bowiem jednej nocy czuwali na stryszku Casa Grande, a następnej nie spali obawiając się o to, które akurat czuwało. Tymczasem samochód wciąż krążył – zupełnie tak, jakby ktoś chciał nie tyle porwać lub ograbić, co raczej zastraszyć mieszkańców Epifanii. Mroźkowie zaczęli podejrzewać, że to być może jacyś szemrani kamraci don Jose albo kuzyni czy znajomi Guzmanów próbują teraz wyrzucić na nich zemstę. Ale równie dobrze mogli to być działający po amatorsku początkujący przyszlizki porywacze, albo zwiadowcy jakiegoś większego gangu kidnapierów. Bodajże w Wielką Sobotę, kończąc już swoją wartę, wkrótce po 6 rano, Susana poczuła podejrzany zapach.



Białe ściany La Torre nie stały już pionowo. Wieża się przekrzywiła. Wciąż dumnie i wyzywająco stała nad stromym zboczem. Ale już przygarbiona. Jak człowiek ze spuszczoną głową. Jak więzień, który niebawem ma usłyszeć wyrok

Gdy zbiegła na podwórze, zobaczyła słup dymu unoszący się nad zagajnikiem przy dolnej granicy rancho. Z szesnastoletnim Ricardo i starszą o rok Marcelą rzuciła się zaraz do gaszenia pożaru. We troje – bo Sławomirowi po operacji kategorycznie zabroniono fizycznego wysiłku – łopatami, kocami, noszoną w kubłach wodą, przez kilkanaście godzin próbowali opanować miotany wiatrem i wciąż zbliżający się do La Torre ogień.

Nie był to pierwszy pożar w okolicy rancho, ani pierwszy, który musieli gasić zupełnie sami. Bo wedle miejscowego zwyczaju, nie znającego przecież europejskiego sąsiedztwa, każdy sam walczy z żywiołem, który mu zagraża. A jednak Susana z podziwem obserwowała spokój don Gustawo, najbliższego sąsiada, który 300 metrów od płonącego lasu razem z dziećmi, przyjaciółmi, wnukami i dalszą rodziną siedząc w swoim zadbanym ogródku, do którego wiatr niósł dym i iskry płonących igieł, spokojnie jadł śniadanie, obiad, a potem kolację życzliwie obserwując beznadziejne zmagania kobiety i dwojga wyrostków.

– Por favor, don Gustawo! – krzychała co sił w płucach, bo wiatr, który chwilę wcześniej rzucił płonąca gałąź na krytą trzciną altanę w ogródku sąsiada, właśnie zmienił kierunek i niósł jej głos w dokładnie przeciwną stronę – don Gustawo! Pali się pańska altana!

– Gracias, señora Mrozek! – odkrzyknął don Gustawo, huknął na służącego i kazał mu zrzucić do sadzawki gwałtownie płonący daszek.

Raz zdobywali kawałek terenu, innym razem w topniejących od żaru tenisówkach, z osmolonymi twarzami, łzawiącymi oczami i okopconymi włosami uciekali przed błyskawicznie przemieszczającymi się złotymi jęzorami. Wreszcie pod wieczór wiejąca od oceanu wichura El Norte przyniosła zbawienną ulewę. Ogień przygasł na tyle, że przed zmrokiem można go już było ostatecznie zdusić.

W nocy jak co dzień czuwali. I być może słusznie, bo wkrótce po zmroku samochód znów się pojawił. Tym razem Sławomir postanowił wysłać poważne ostrzeżenie. Wystrzelił w powietrze, kiedy auto ze zgaszonymi światłami jak zwykle stanęło nie opodal bramy. Gdy rozległ się wystrzał, silnik zawył, opony zabuksowały na piaszczystej drodze i po paru sekundach nieoświetlony samochód rozpląnął się w panujących dokoła egipskich ciemnościach.

Tej nocy już nie wrócił. Za to rano Marcela przyniosła z wioski kolejną złą wiadomość. Jednego dnia wściekło się tam 7 miejscowych kundli. Mroźkowie zaczęli się obawiać o swoje sznaucery, które nieraz ganiały się z podchodzącymi pod rancho bezpiecznymi psami. Susana zadzwoniła w tej sprawie do doktora Rocho.

– To pani – dziwił się dr Rocha – nie wiedziała o epidemii wścieklizny?

– Nic nie słyszałam o żadnej epidemii.

– Jest wielka epidemia, choć rząd temu zaprzecza i prasa o tym nie pisze. Tysiące wściekłych kundli łązi po całym kraju. Ale kundle to jeszcze nie problem. Najgorsze są gryzonie. Tysiące, może miliony wściekłych, dzikich gryzoni. Naprawdę trzeba uważać, kiedy się mieszka na wsi.

– To co ja mam zrobić z tymi wściekłymi psami?

– Ma pani chyba pistolet? Niech je pani zastrzeli.

– Mam strzelać do kundli?

– Uważam, że to konieczne.

– Ja nie umiem, nie trafię, nie mogę. Señor Rocha, ja mam metr pięćdziesiąt i raptem 9 naboji. Jak ja mam zabić siedem wściekłych kundli.

– Musi pani. Nikt tego za panią nie zrobi.

Pozostało w miarę możliwości pilnować, żeby sznaucery nie odchodziły zbyt daleko od domu i mieć nadzieję, że nic im się nie stanie.

We wtorek po Wielkanocy Susana wybrała się do Mexico. W ciągu dnia załatwiała nudne formalności, zjadła dobry obiad, odwiedziła rodzinę. Wieczorem poszła z przyjaciółką na wernisaż wystawy polskiego lnu w jednym z najelegantszych hoteli Mexico. Sala wystawowa była pełna eleganckich gości. Artyści, dyplomaci, politycy, intelektualiści. Wytworni kelnerzy. Modne drinki. Dość dobre jedzenie. Po przeżyciach ostatniego tygodnia Susana z przyjemnością zanurzyła się w atmosferze kosmopolitycznego snobizmu, rozmawiała o niczym, ścisła nieznane dłonie i wymieniała nic nie znaczące uśmiechy. Nareszcie, choć przez chwilę nie miała obowiązków, nikt niczego od niej nie oczekiwał i nic jej nie groziło. Po jakichś dwóch godzinach pierwsi goście zaczęli wychodzić. Susana wolała zostać. Dawno nie przeżyła takich beztrudnych godzin. Nagle przy wejściu coś się zakotłowało. Wrócili goście, którzy wyszli przed chwilą. Panie bez biżuterii. Panowie bez portfeli. Potwornie zdenerwowani próbowali wezwać telefonicznie policję. Jeden przez drugiego opowiadali teraz, jak przed samym wejściem ograbiła ich grupa wyrostków uzbrojonych w noże. Podobno z odległości kilkudziesięciu metrów całemu zajściu spokojnie przyglądało się dwóch policjantów.

Teraz już nikt nie chciał z wernisażu wychodzić. Nikt poza Suzaną.

Miała tego dosyć. Dosyć nieustannego napięcia i ciągłego strachu. Dosyć życia, którego rytm dyktuje obawa przed agresją, i dosyć zachowywania się tak, żeby zmniejszyć niebezpieczeństwo czyhające zawsze i zewsząd. Wyciągnęła z torebki finkę z dwunastocentymetrowym ostrzem, którą Sławomir kupił jej kiedyś w Krakowie i którą odtąd nosiła przy sobie jak talizman. Włożyła torebkę pod ramię, wzięła przyjaciółkę za rękę i zdecydowanym krokiem ruszyła do wyjścia.

W jednej dłoni ścisła dłoń przyjaciółki, a w drugiej rękojeść noża. Przed hotelem rzeczywiście stała grupa źle wyglądających wyrostków. Na widok dwóch kobiet zrobili parę kroków do przodu, ale zatrzymali się, gdy Susana poruszyła dłoń z błyszczącą w ciemności finką. Przez chwilę żałowała, że nie wzięła colta, ale po pierwsze był przecież potrzebny do obrony rancho, a po drugie i tak nie miała dość siły, by go zarepetować. Zaciśnęła zęby, gdy mijala wyrostków patrząc im prosto w twarze. Żaden nie drgnął ani nie powiedział słowa. Ruszyli za nimi dopiero, kiedy weszły do niewielkiego parku, po drugiej stronie którego zostawiły samochód. Szepcząc coś między sobą szli tak przez chwilę parę metrów za nią. Kiedy nagle stanęła i się odwróciła, oni także stanęli, ale gdy znów ruszyła, głośno coś przygadując zawrócili pod hotel.

Tę noc spędziła u przyjaciółki w Mexico. O świcie wróciła do swojej Epifanii. Biorąc poranny prysznic w przyziemiu Casa Grande zastanawiała się, czy powinna martwić Sławomira opowiadaniem o tym, co zaszło poprzedniego wieczora. Zdecydowała się dopiero, kiedy przy śniadaniu w ostrym porannym słońcu zobaczyła jego twarz na tle ich ukochanego wilanowskiego kominka – bladą, pooraną, potwornie zmęczoną nocnymi wartami, nieustannym czuwaniem, ciągłym niepokojem. Wtedy pomyślała, że już w żaden sposób nie może zapewnić mężowi bezpieczeństwa.

– Chcesz wyjechać? – zapytał, kiedy skończyła mówić, bo zdał sobie sprawę, że długo już tak nie pociągną. A zresztą: po co mieli ciągnąć.



A więc, panie Mrozek, Meksyk to jeszcze nie koniec. I co dalej? Co dalej? Wie pan już, co dalej?

– Taak, Sławomir! – krzyknęła – Natychmiast!

– Do Francji czy do Krakowa?

– Pewnie, że do Krakowa.

– To jedźmy do Krakowa.

Oboje poczuli niewypowiedzianą ulgę.

Sławomir wstał od stołu. Na kamizelkę z dwoma tuzinami kieszeni naciągnął swoją ulubioną, mocno sfatygowaną zieloną wojskową kurtkę, założył równie ulubiony i sfatygowany płócienny biały kapelusz, za pasek – jak zawsze, od kiedy pojawił się tajemniczy samochód – wsunął załadowanego colta model combat commander i jak co dzień rano ruszył do swojej La Torre otoczony przez sforę żądnych przygody sznaucerów.

Gdy wszedł do pracowni, właśnie minęła dziesiąta. W Polsce siedemnasta. Wykręcił numer przyjaciół w Krakowie.

– Mówi Mrozek. Wracamy.

– Na ile przyjeżdżacie?

– Wracamy na stałe!

Dopiero teraz, gdy decyzja ostatecznie zapadła i została innym formalnie zakomunikowana, znów usłyszał ten głos, który kiedyś przez lata stale mu towarzyszył i tyle razy, bez pardonu miotał go po świecie. Był to głos Kudłatego. Już nie tak wyrazisty ani nie tak władczy. Już nie tubalny baryton wielkiego demona, lecz zaledwie dyszkancik małego, wyliniętego, kudłatego diabełka – widocznie diabły kurczą się na starość.

– Więc jednak, panie Mrozek, jest jeszcze coś dalej! Co dalej, panie Mrozek? Co dalej? Co dalej?

Może w absolutnej ciszy odludnej La Torre przez chwilę dało się nawet słyszeć, jak

staruszek Kudłaty zaciera kosmate łapy, gdy z diabelską przekorą szeptał Mroźkowi do ucha.

– A więc, panie Mrozek, Meksyk to jeszcze nie koniec. I co dalej? Co dalej? Wie pan już, co dalej?

– Kraków!

– Zaraz, zaraz. Niech będzie nawet Kraków, ale nie tak od razu. Skąd nagle ten pośpiech? Tyle czasu tu trwałeś, możesz jeszcze wytrzymać.

– Więc, do diabła, co jeszcze?

– Masa różnych zajęć. Trzeba sprzedać rancho. Trzeba się spakować. Trzeba sobie przygotować odwrót – załatwić formalności, znaleźć jakieś lokum... może teraz uroczy galicyjski dworek?

– Przenigdy! Nigdy w życiu. Skromne trzy pokoje. Z rozległym widokiem, ale w środku miasta. Tak, żeby zejść po schodach, przez małe podwóreczko wyjść na gwarną ulicę, przejść może 200 metrów i wstąpić do kawiarni na wiedeńskie śniadanie.

– No to: do dzieła, bracie!

Kto zna Kudłatego, ten musiał się spodziewać wszystkiego najgorszego. Bo przecież szanujący się demon – choćby już wyliniały i mocno pokurczony – nie mógł być pozwolić, żeby się Mrozek z przeprowadzki rozmyślił, a nawet by zaczął się wahać. Więc współdziałając z przebudzonymi demonami Meksyku musiał Epifanii dostarczać ciągle nowych wrażeń.

Zaczął od konfitur. Jak umiał, zadbał o to, żeby Susanie nie było żal zostawiać wspaniałe rozwijającej się firmy. Bo przecież jej konfitury dopiero co stanęły na półkach wielkich supermarketów i właśnie zaczęły z nich błyskawicznie znikać. Przecież kosztowna promocja – własne firmowe półki i częstujące gości bardzo drogie modelki – dopiero zaczęła się zwracać. Konfiturowe eldorado już-już było w zasięgu ręki. To mogło Susanę do wyjazdu zniechęcić. Mogło jej nasunąć zupełnie fatalny pomysł, że jednak nie Europa, nie Polska, nie Kraków, ale pobliskie Pueblo, albo nawet Tlaxcala, czy choćby samo Mexico... Do tego Kudłatemu nie wolno było dopuścić.

Z wielu środków zaradczych – napad, pożar, huragan, straszne trzęsienie ziemi albo niszczące fabryczkę osunięcie się zbocza – po starej znajomości wybrał względnie łagodny: bankructwo supermarketów. Strata dla Epifanii stosunkowo niewielka. Dla Kudłatego korzyść po prostu ogromna, bo definitywnie znikła niebezpieczna wizja wielkiego eldorado. Fabryczkę zamknięto na cztery ciężkie spusty, a nowiutkie kartony ze słoiczkami konfitur na długo zaległy w piwnicy stróżówki.

To było jeszcze w kwietniu. Ale widać sprawy wyjazdu ciągle nie szły dość pręźnie, bo w lipcu Kudłaty znów uznał, że musi coś zrobić. Właściwie nie wiadomo, co go zdenerwowało. Przecież przygotowania wciąż się posuwały, bilety zarezerwowano, zamówiono kontener, rancho wystawiono na sprzedaż, szukano mieszkania w Krakowie... Może poszło o to, że Mrozek nieco częściej wspominał teraz pewną starą wróżkę z hotelu w Kostaryce, która dawno temu, nim jeszcze zamieszkał w Meksyku, przepowiedziała jego przyszłe sukcesy, daleką przeprowadzkę i ciężką chorobę, natomiast z całym przekonaniem twierdziła, że nigdy nie będzie mu dane na stałe wrócić do Polski? Może chodziło o to, że kiedy wkrótce po Wielkanocy tajemniczy samochód zniknął tak samo nagle, jak zaczął się pojawiać, w Epifanii zrezygnowano z nocnego wartowania i choć inne środki bezpieczeństwa zostały utrzymane, z czasem poczucie zagrożenia radykalnie zmalowało? A może raczej szło o to, że sprzedaż rancha, które pochłonęło wielką część życiowych oszczędności Mroźka, okazała się trudniejsza, niż ktokolwiek sądził, i wszystko wskazywało, że nawet jeśli Mroźkowie jesienią przyjadą do Polski, Epifania jeszcze długo będzie ich własnością?

Dość na tym, że Kudłatego coś zaniepokoiło i w lipcu postanowił nadać przynaglający

sygnał. Jakby chciał przypomnieć, że wrześnieowy termin ostatecznego wyjazdu w żadnym razie nie może być przekroczony.

Tym razem użył ziemi. W poniedziałek, 15 lipca, gdzieś koło wpół do piątej, kiedy Sławomir przepisywał na komputerze przedostatni odcinek „Dziennika powrotu”, kompletną ciszę La Torre przerwał dudniący pomruk, głuchy grzmot z trzewi Ziemi, jakby ciężkie westchnienie olbrzyma uwięzionego w jej wnętrzu. Góra się zatrzęsała. Wieżę zakotyssało. Mury głucho stęknęły.

Sławomir odruchowo zasejwował komputer, zgasił go, wyjął wtyczkę z kontaktu. Jak zawsze, gdy Ziemia się trzęsała, zbiegł na dół i odciął dopływ prądu. Wstrząs nie był zbyt mocny. Ot, małe patataj Ziemi, jakich wiele bywa tu co roku. Z zasady nie wspomina o nich nawet lokalna prasa, tak jak nie wspomina o deszczach, wiatrach ani o wściekłych kundlach. Ale kiedy po chwili Mrozek podszedł do bramy i spojrzął na Wieżę, zobaczył, że już nie jest taka, jaką ją postawił. Białe ściany La Torre nie stały już pionowo. Wieża się przekrzywiła. Wciąż dumnie i wyzywająco stała nad stromym zboczem. Ale już przygarbiona. Jak człowiek ze spuszczoną głową. Jak więzień, który niebawem ma usłyszeć wyrok.

– Na karcie tarota – przypomniał sobie Mrozek – przekrzywiona wieża oznacza nieszczęście.

Czy przekrzywiła się teraz, czy podczas któregoś poprzedniego trzęsienia, tego już nikt nie dojdzie. Nie warto próbować. Może tak stała chwilę, może miesiąc, a może od Zaduszek. Może była już krzywa, zanim jeszcze Susana wybrała się na feralną ferię do Tlaxcali?

Ważne, że znów Kudłaty co chciał, to uzyskał. Nazajutrz opisując trzęsienie w Epifanii, w ostatnim odcinku „Dziennika powrotu” Mrozek zanotował: „Moja chęć powrotu do Krakowa znacznie wzrosła”.

Kudłaty powinien już chyba być zupełnie szczęśliwy. Ale czy był w istocie, tego nie wiadomo.

– I co dalej? – zapytał chyba tylko kontrolnie.

– Kraków!

– Co dalej? – wciąż pytał, jakby chciał się upewnić.

– Kraków! Kraków!

– Ale, ja pytam: co dalej? Co dalej, panie Mrozek? Co dalej? Co dalej?